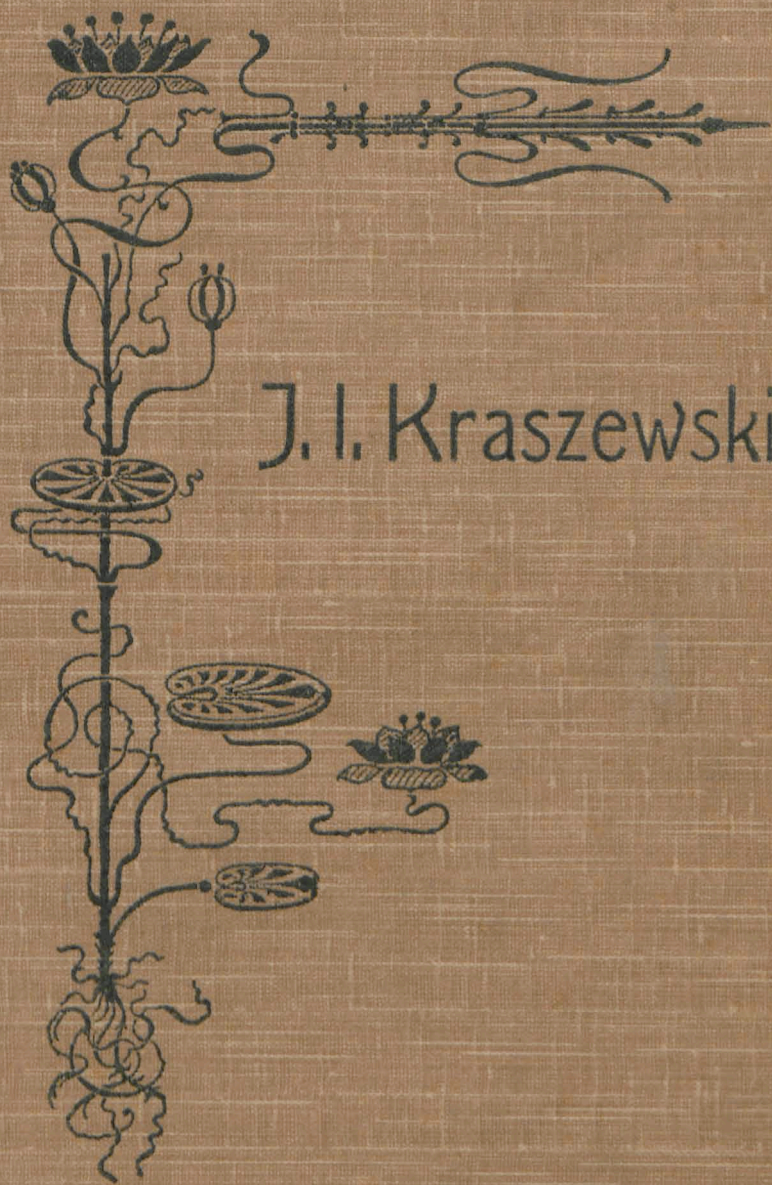




J. I. Kraszewski

J. I. KRASZEWSKI

BIAŁY KSIĄŻĘ

D. E. FRIEDLEIN
KSIĘGARNIA
W KRAKOWIE.

BIAŁY KSIĄŻE

CZASY LUDWIKA WĘGERSKIEGO

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

TOM I.

Kłodzinski

WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA.

1902

Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Февраля 1902 года.



HK/M 280

I.

Było to dnia dziewiętnastego Listopada, roku pańskiego 1370.

Pomimo wiatru mroźnego, który dał z północy i zimę nadchodzącą zapowiadał, cały Kraków wylał się w rynek i ulice. Pomiedzy kościołami Franciszkanów, św. Trójcy i Panny Maryi a katedrą na Wawelu były drogi, wzgórza, dachy i okna tak nabite, jakby głowy ludzkimi je wybrukowano. I mało co też więcej rozeznac było można nad głowy, różnie pookrywane, okryte i osłonięte, nad twarze, na których jeden wyraz boleści i trwogi jakiegś był odmalowany.

Na żadnem z tych przemnogich obliczów promyka nawet przelotnej nie widać było wesołości, ni płochego uśmieszku. Wszystko to stało ciche, skamieniałe, odrętwione, a na wielu zaczerwienionych powiekach ślady łez dostrzedz można było.

Po nad głowami tego tłumu, z powiewem nierównym wiatru, to głośnieiej, to ciszej, przerywanie, jęczoco odzywały się kościołów dzwony.

Dnia tego ostatnią cześć oddawano pamięci wielkiego króla, po którym płakał kraj cały. Po żadnym jeszcze może łez się tyle nie wylało. Z nim krew Piastów schodziła z tronu, który się miał dostać obcemu; grzebano z Kaźmirzem cały ten szereg mężów żelaznych, co kraj piersią bronili, a sercem miłowali Piastów, co byli ludu tego ojcami i dziećmi.

Ostatni, jakby chciał pamięć wiekuistą zostawić po sobie, wyrósł nad wszystkich, nie rycer-

stwem jak drudzy, ale miłością wielką dla całej ziemi tej, którą zjednoczył, rozszerzył, obwarował i pokojem ubłogosławił.

Tak mówili po cichu starzy ludzie, oczyma zażawionemi patrzący w dal i nie widzący nic... czuli, że z panowaniem króla tego szczęście i pokój się kończył. Obey przybysz koronę przyjmował jak z łaski, ani chciał znać kraju tego, którego powietrze dlań, jak mówił, niezdrowem i nieznośnem było.

Szeptano po cichu w gromadkach, że już Hasso, brandeburczyka starosta, zamek Santocki opanował, że Litwa włodzimierski niedokończony zamek oblegała, że Mazury zajęły też grody, które do króla należały. To był początek dopiero... gdy król ledwie przywarł powieki, cóż dopiero dalej być miało?...

Zadne panowanie nowe tak się nie zwiastowało smutnie, takimi przeczuciami poprzedzone nie było.

Po nad szeptami ludu i smutnemi prorocztw jękiem żałobnym biły dzwony. W dali poruszał się zwolna i zbliżał orszak pogrzebowy.

Powiadano w tłumie i o tem, że nie król Ludwik nowy, ani matka jego, Elżbieta, siostra Kaźmirzowa, ten uroczysty obchód dla nieboszczyka czci urządzili, ale bolejący po swym panu domownicy jego, dworzanie, blizcy mu i ukochani.

Zwolna szeregi duchowieństwa ze wszystkich kościołów i klasztorów ciągnąć poczęły, poprzedzane chorągwiami patronów i żałobnymi rydwanami.

Księża szli z ręką na piersi a świecą w drugiej, głowy pochyliwszy, tak smutni jako i lud, bo powszechny żal i ich, od świata oderwanych, przejmował.

Tuż zaczęły się ukazywać wozy żałobne całe kirem obite, konie w czerni, w czerni ludzie — wysoko wyniesione baldachinami, ze srebrnemi lzy na osłonach.

Cztery jednak ich ciągnęło, jakby każdy stan chciał niemi żal swój okazać i wszyscy stawali z nim u grobu.

Za tymi wozy orszak rycerstwa występował, orszak rycerstwa wspaniały, wyzłocony, na koniach purpurą do ziemi okrytych, by okazać, że syn ubogiego Łoktka, państwo ojcowskie wiawszy w łachmanach i z drzewa, oddawał w szkarłatach i murach. Wiedzieli o tem wszyscy starcy, co dawniejsze pamiętali lata.

Po nad głowami tego soroka rycerzy wiały chorągwie: przodem purpurowa królewska, z orłem białym, dalej jedenaście proporców wszystkich ziem, które Kaźmirz zjednoczył i silną dłonią w całość wielką ścisnął.

Lecz nie stało dłoni — szeptano — nie stało... i oto... kruszyły się już i odpadały części państwa tego. Jaka je przyszłość czekała?

Szmer głucho przeszedł po tłumach, zadrgały, poruszyły się, podnosiły głowy, oczy zabłysły żywiej.

Za orszakiem rycerzy na ulubionym koniu króla pod złotem, perłami szytym okryciem, jechał mąż nieznany, co postać zmarłego wyrażał.

Odgadywano nazwisko jego, a nikt nie umiał powiedzieć, kto był.

Tym, co króla znali, biło serce i lzy płynęły, bo zdało się im, że widzieli jego samego, powstałego z grobu raz ostatni i przychodzącego pożegnać swe dzieci.

On to zdawał się być, jego postawę miał, wzrost, ciemne włosów kędziory, a helm z przyłbicą spuszczoną, z poza której oczy tylko prześledały — pozwalał twarz jego widzieć tam, gdzie żelazna krata nie dopuszczała wejrzenia.

Najdroższe szaty i klejnoty ze skarbcza okrywały ową króla postać, złotogłów, łańcuchy, szkarłat, zbroja sadzona kamieniami drogiemi, pas dżamentami świecący.

Lecz nikt na ten przepych nie patrzył—zmarłego króla widziano w tem widmie pogrzebowem i jęki wybuchiły nagle.

Ostatni Piast... ostatni w koronie jechał do grobu, który za nim zawrzeć się miał na wieki. I poszły za nim oczy i serca...

A tuż sześciuset mężów parami poczęło żalobny pochód za panem.

Wszyscy mieli szaty czarne, a każdy z nich oburącz dźwigał ogromną świecę, płonącą mimo wiatru płomieniem niespokojnym i lejącą z siebie strumienie wosku, jak lzy gorące.

Szli i szli, a końca im długo nie było... aż po nad głowami ostatnich ukazało się jakby łoże niesione wysoko, mary, które dźwigali dworzanie królewscy, do ziemi całunem obwieszony, złotem i srebrem przytłaczany, na którym w okół spuszczały się pasma sukien szkarłatnych i purpurowych jedwabów.

Dokoła mar cisnął się tłum w żalobie, z głowy odkrytymi, zawodzący pieśń bolesną, dziwną, nie kościelną, nie zwykłą ani dźwiękiem, ni słowy, przejmującą, bo ci, co ją nucili, szlochali śpiewając, dłońmi zakrywali oczy, włosy darli na głowach i ręce wznosili ku niebiosom.

A żal ich nieklamany, straszny, do kości poruszał tych, co byli świadkami, i płacz zaraźliwy wybuchał od niego w tłumach.

O pieśni mówiono, że nieuk jakiś wielkiego serca, z boleści niezmierniej wyśpiewał ją, a wszyscy za nim powtarzali słowa, na które mądrzejsi ramionami ruszali, bo były proste, jakby z ust ludu wzięte, a szły w piersi, jak żelazo ostrzem bólu swego.

Rozlegała się ta pieśń natchniona a nieforemna, głośniejsza psalmy, głośniejsza dzwony i wtorem zwrotek jej tłum cały z płaczem powtarzał.

Rodzica ta ziemia straciła,

Straciła rodzica...

Żalobą się cała okryła...

Herold, jadący przed marami, aby im szerszą uczynić drogę i rzucający na prawo i na lewo garściami szerokie grosze pragskie, nie mógł im łatwego przejścia uczynić; gawiedź ledwie schylała się po spadające na ziemię pieniądze, inni stali płacząc i popychać się dali, nie wiedząc, że na nich następowano. Żal był prawdziwy, powszechny, wielki.

Dopiero straż królewska z wielkimi halabardami pozłocistymi, rozpychająca niemi gromady i wołająca — król! król — więcej siłą niż postrachem mogła ścisnąć wielki rozbić na dwie połowy.

Oczy wszystkich zwróciły się teraz na tę żywą przyszość...

Orszak królewski był wspaniały i świetny a sam król, gdyby nie wspomnienie Kaźmirzowe, mógł wzrok pociągać ku sobie.

Otaczali go duchowni: stary na wpół ociemniały Bogorya, który resztę oczu miał z żalu po ukochanym Kaźmirzu wypłakać, Floryan krakowski, Piotr lubelski, i biskupi.

Szedł we zbroi, z podniesioną dumnie głową, z wysoka zimnem wejrzeniem mierząc tłumy, bez żalu i trwogi na twarzy, znudzony tylko i zobojętniały jakiś, białą chustę często przykładając do białego a pięknego oblicza.

Na helmie świeciła mu korona drogiemi kamieniami sadzona, płaszcz królewski z ramion zwiślał. Ręką jedną na rękoności miecza się spierał.

Ani lud, któremu miał panować, ku niemu, ani on dla tych tłumów nie okazywał tego pragnienia i nadziei miłości wzajemnej, którą związek ojca z dziećmi mógł zapowiadać. Król patrzył obojętnie, na króla spoglądano z obawą.

Wiedział zaprawdę, iż zmarłego chłopów króla nie zastąpi. Tylko okazałością dworu olśniewał i moc swą chciał dowieść.

Świetnym bywał dwór Kaźmirzowy w ostatnich czasach, lecz nigdy Ludwikowemu nie do-

równał. A jak zmarły pan miłościw był cały, tak i ci, co go otaczali, wszędzie i zawsze bratersko się a serdecznie okazowali. Ludwików dwór miał oblicza pańskie, dumne, pogardliwie patrzące, jak on, rycerskie ale groźne, nasepione i odstraszające.

Dość było wejrzeń tych węgierskich magnatów, obszytych złotem, by gromady rozpędzić.

Pogrzebowego też smutku ani Ludwik, ni oni nie przywdzieli nawet na ten dzień i chwilę; — ledwie że się pokrzywionemi twarzami nie urągali, mówiąc zachmurzonym i płaczącym: — Teraz myśmy panami waszymi!

Ta groźba panowania ścisła każdemu, co na nich spojrzał, pierś wzburzoną.

Inne też postacie orszaku pańskiego ukazywano sobie, szepejąc pocichu.

Szedł poza królem Władysław Opolski, który i przy śmierci Kaźmirzowej tu był, i Ludwika nie odstępował. Ten też pańsko wyglądał, i Piastowska krew płynęła w nim, ale do starych Piastów serdecznych cale nie był podobny.

W kolebce, czy na zaraniu niemcy go wzięli na naukę i na swojego przerobili, tak, że mówiono, iż nawet języka swego z trudnością używał, a cale go nie miłował. Rozum, bystrość i męztwo patrzyło mu z oczu, tylko miłości w nich nie było. Szedł za królem, nie patrząc na nic i nie widząc tylko jego, jakby czekał słowa, rozkazu, znaku. Niekiedy też Ludwik spoglądał ku niemu, jakby pytał: — Kiedy się to skończy?

Z drugiego boku postępował za królem mąż piękny, wątłej postawy, niewieściego miłego oblicza, oczu czarnych, gorących, ruchów żywych i nie-spokojnych. Był to Kaźko, książę Szczeciński, nieboszczyka ulubieniec, wychowanek i wnuczę.

Ten roztargniony stapał, to tu, to owdzie rzucając oczyma, a na niego ciekawie oglądało się wielu. Był swój — a teraz i on na obcych łasce.

Szeptano cicho, że testament królewski, któ-

rym on wielu i to książątko obdarzył, łamać miał Ludwik, a nie myślał woli zmarłego spełnić.

Dalej szły zasłonami czarnemi cale okryte niewiasty. Stara królowa, wdowa węgierska, Łokt-kowa córka, naprzód. Dziw było spojrzeć na nią. Ludzie lata jej wiedzieli i liczyli, syn też czterdziestoczeroletni mąż, ją poprzedzał, a królowa jeśli nie wydawała się młodą, przynajmniej chciała nią być jeszcze.

Wprawdzie twarz trochę marszczków gdzie-niegdzie porysowało, ale lice było rumiane, świe-że, białe jeszcze, oczy błyszczące, a z pod zasłon widny włos nie okazywał siwizny. Jużci na ten dzień chciała mieć twarz smutną, a nie mogła. Rzuciła wejrzeniami tu i owdzie, dawała znaki, a szła, zapominając się, tak żywo, iż co kilka kroków stawać potem musiała, aby ci, co ją poprze-dzali, oddalić się czas mieli.

Obok niej stapała powoli, z marmurową twarzą zastygłą, z oczyma spuszczone, wdowa Ka-źmirzowa, Jadwiga, w czerni cała, zadumana, jak-by myślami nie tu już była, a gdzieindziej.

Dwoje jej dziewczątek, córek pańskich, płakało, chustami twarzyczki białe zasłonięte miały, a potykały się coraz na kamieniach i staniały biedne sieroty...

Dokoła tłum węgrodw ciskał się, półgłosem, językiem nieznanym rozprawiając, palcami ukazując na ulice i domy, a nie czyniąc sobie żaloby z tego, co dla nich było weselem i rozrywką.

A gdzie się tłum ku nim nasunął, wnet pięść podnosili nań i marszczyli brew i za miecze się brali.

Panami się tu czuli.

Przed trzema kościołami zatrzymał się pochód, mary i tłumy; naostatek na Wawel do katedry ciągnęło wszystko.

Droga do Wawelu, dziedzińce zamkowe, bramy, mury, wszystko już lud zalegał gęsto.

Do kościoła ledwie dostojniejszych wpuszczano. Rycerstwo musiało cisnących się powstrzymać, a krzyki stłumione słyszeć się dawały co chwila.

Biskup Floryan wyszedł przed ołtarz wielki, rozległy się pieśni i razem z nim do wszystkich, ile było ołtarzy w świątyni, czekający zbliżyli się kapłani, niekrwawą składać za duszę pana ofiarę.

W pośrodku kościoła na dwóch srebrnych misach leżała kupa groszy, z których każdy brał ile chciał i składał przy ołtarzu za duszę pańską, na modlitwy. A że w ścisku nie każdy mógł do ołtarza dojść, wyręczało rycerstwo, które służbę żalobną sprawiało.

Szli też owi, co mary otaczali, słudzy i urzędnicy nieboszczyka króla, niosąc każdy dań za duszę jego do kościoła, a były one tak obfite i kosztowne, jak wielki był żal po ostatnim Piśmie.

Szedł podskarbi zmarłego, Świętosław, z nalewkami srebrnymi i ręcznikami, których król przy ucztach zażywał, i złożył je kościołowi na pamięć. Choć na Wawelu była już jedna, przed zgonem przez samego Kaźmirza ofiarowana najcenniejsza pamiątka, złomek tego drzewa, na którym Chrystus Pan za grzechy ludzkie umierał, w szczerozłotym krzyżu, perłami i drogiemi kamieniami ozdobny.

Za podskarbim przystąpił do ołtarza stolnik Przedbór i podstoli Janusz, niosąc cztery misy srebrne; cześnik Petrko i podczaszy Żegota kubki i puhary; marszałek dworu przyniósł kosztowny naramiennik królewski.

Nabożeństwo ku końcowi się miało, gdy od przwi lud odtrącać poczęto, aby się obrzęd wedle tradycyi i obyczaju rycerskiego dokonał. Wjeżdżał na koniu nieznajomy ów, który osobę króla wyobrażał, z przyłbicą spuszczoną; za nim konia powodnego przywiódł podkomorny, a tuż poczęli

po kamiennej posadzce tętniąc kobydami wjeżdżać chorągowie, jeden za drugim.

Była to chwila najboleśniejsza, gdy u stóp mar królewskich chorągwie naprzód królestwa onego, potem wszystkich ziem kruszyć i łamać poczęto.

Tłumiony płacz ozwał się jękiem i rykiem; chrzęst kruszonych drzewców, rwanie się przestraszonych koni, krzyki tłumu, śpiew księży, wszystko to razem zmieszane w jeden głos dziki i straszny, najtwardszych ludzi dreszczem trwogi i szaleńcem przejmowało.

Zapominali się niektórzy, iż w kościele byli, wielkiemi zawodząc głosami, ręce podnosząc do góry. Po nad szmer i łkanie wzbijały się wyrzekania.

Król Ludwik słuchać już dłużej nie mógł wyrazu tego żalu, — razem z rodziną i dworem usunął się z kościoła na zamek powracając. Na węgrach i na nim znać było jakby obrazę i gniew, że takimi żałami przeszłość grzebano, jakby już żadnej przyszłości nie było.

I mógł zaprawdę nowy król pomyśleć sobie, iż przy największem o swych dwu państwach staraniu, nigdy tego królestwa nie pozyszcze sobie tak, jak zmarły, ani mu go zastąpi...

Z jękiem i płaczem zwolna wylewał się lud i wszyscy pogrzebu uczestnicy na podwórcę. Stali tu u drzwi kościelnych, pod murami, na drodze, nie mogąc jakby porzucić grobu tego i rozstać się z nim. Zewsząd dokoła tylko pochwały zmarłego i srogie żale po nim słyszeć było.

Starzy słudzy pańscy rozsypywali się, niepotrzebni się czując, bo król i stara Elżbieta już się nowemi otaczali. Mało kto z Kaźmirzowych miał przy nich pozostać.

Zawczasu ci, co zgon Kaźmirza przewidywali, zbiegli do Budy, starej pani i synowi jej niosąc pochlebstwa i zalecając służby pokorne.

Co było lepszego, stało na uboczu, nie myśląc o sobie, zabiegłsi wcześniej miejsca zajęli. Z dawnych ulubieńców i przyjaciół króla ledwie kto miał przystęp do zamku.

Na chleb żałobny dostojniejsi szli do króla i królowej, inni na miasto, które tych dni pełne było nietylko po gospodach, lecz gdziekolwiek kąś się znalazł jaki. Przybyli bowiem i wielkopoleanie w liczbie dosyć znacznej, w nadziei, że nowego króla z sobą, jakby na drugą koronację, do Gniezna zabiorą, i Kujawiacy, i Sieradzanie, i Rusini, i Mazurów trocha.

W godzinę po umilknięciu dzwonów żałobnych, na zamku już przeważnie węgrows tylko widzieć było można snujących się po podwórcach; w ulicach lud gwarzył, opowiadając i przypominając, co widział dnia tego.

Wedworze drewnianym pana Dobiesława z Kurowek, wojewody krakowskiego, natłok gości był wielki. Tu, mówili sobie ludzie, łaska pańska zorzą nową świtała, a na światło takie ludzie się zawsze garną.

Starzy to byli ziemianie tutejsi Różyce, z których Dobiesław ród swój wiódł i niemałych imion ludzie: przecie ani z Toporami i Starżami, ani z Leliwami i Sreniawitami o lepszą isć nie mogli, dla tego też może chodzili żwawo około spraw swoich, aby się wzbici do góry.

Lecz nieboszczyk król, jak miłościwym panem był dla wszystkich, tak pochlebców zbyt zabiegliwych około siebie nie lubił, ani im ufał. Szczególną też łaską jego Różyce się nie chlubili, choć ich służby nagradzał i starszego Dobiesława na pierwsze województwo podniósł.

Ludzie rycerscy byli, szczególniejszy stary, który nietylko sprawę wojenną, zabawy rycerskie, łowy i turnieje lubił, ale i sam obyczaj ów butny, krzykliwy, pański, świetny, który czasu pokoju zastępuje wrzawę wojenną.

Pan wojewoda był lat około sześćdziesięciu, choć ich na nim znać nie było, bo ruchliwy żywot, dłuższy, czy krótszy, nie daje człowiekowi zgnać i zestarzeć.

Młodo się więc trzymał, choć synów dwu miał dorosłych; występował strojno a błyszcząc, w domu gościnnie i hojnie, i choć możny, nad możność swą zawsze chciał się postawić. Dwór też otaczał go pański, stajnie i woźniki jego sławę miały, zbroje najdroższe naszał, w szkarłaty się odziewał i przed ludźmi popisywać lubił.

Syn Krzesław wdał się całkiem w ojca, i choć twarzą urodziwą młodszy, obyczajem, mową, głosem kubek był doń podobny. Oba rozumieli się i zgadywali jak najlepiej.

Drugi syn Zawisza, choć równie gorącej krwi, i do nich z charakteru podobny, lepiejby był się do konia i miecza zdał, niż do ołtarza i rewerendy: z woli ojcowskiej musiał do stanu duchownego isć, powołania doń nie mając.

Nie pytał o to ojciec: księdza mu w rodzinie było potrzeba, bo go zawczasu na wysokie dostojęństwo w kościele naznaczył. Słał więc Zawiszę do Włoch, uczyć mu się kazał i postrzyż go dał; a gdy do kraju powrócił, prędko go na dwór i do kapituły umiał weisnąć.

Bystrego umysłu, zręczny, przebiegły, młody duchowny szczęśliwie sobie drogę torował, choć żył nie po księżemu. Pachło mu to, co ojcu i bratu; swoboda pańska, uczutowanie, konie, łowy, śpiewki, towarzystwo wesołe i niewieście zaloty.

Potroszę przestrzegając, aby nie dać z siebie zgorszenia, gdy się na wieś wyrwał, cugli popuszczając, Zawisza na ludzkie języki nie zważał wcale. Przyszłości był pewien. Miał za sobą wiele, bo na nauce mu nie zbywało, w piśmie był biegły, ludzi ujmować umiał, i gdy było potrzeba, układał się do nich.

Zaraz po śmierci Kaźmirza, gdy ks. Suchy-

wilk z biskupem Floryanem do Budy jechali, przyszył się do nich Zawisza, aby na dwór dostać się zawczasu.

Królowę starą Elżbietę znał dawniej i pochlebiał sobie, że miał u niej łaski.

Letnia już pani Bezręka lubiła się zabawać wesoło i młodzieżą otaczać płci obojej. Nie było u niej dnia bez muzyki, śpiewu, płasów i pogadanek trefnych. Zalecała się jej młodzież jak mogła, i rej potem wodziła, gdy na łaskę zasłużyła.

Ale zarazem niemłoda pani poczyniała być pobożną, i z rana do Boga się wdzięczyła, a wieczorem do ludzi.

Młody ksiądz, który modlitwy z nią mógł odmawiać, i trefne pogadanki z dowcipem wiódł, a staruszcze pochlebiał, pod niebiosą ją wynosząc, i z piękności nawet sławiąc, wielce sobie ujął królowę.

Pamiętała o nim, i gdy przybiegł do Budy z wieścią o śmierci brata jej, łatwo mu było słowkiem pokornem kanclerstwo sobie u staruszki zapewnić.

Domyślano się już naówczas, że Ludwik sam, Polsce niechętny, mieszkać w niej nie chcąc i nie mogąc, spuści matce rządy państwa. Z kanclerstwa u królowej prosta była droga do infuły.

Zawisza przypiął się do sukni Elżbiety i stał jej sługą. Ojciec i brat przyklasnęli. Przez Zawiszę oni dostali się do starej matki, a przez nią do młodego króla.

I teraz już Różyce spoglądali z góry na drugich, wiedząc, że mieli przyszość przed sobą.

II.

Gdy ludzie dojrzel, że się Różycom wiedzie, choć około wojewody nigdy pusto nie było, posypali się doń tłumnie. Dobry to był znak. Dobiesław ręce zacierał.

Wiedzano tego dnia napewno, że Ludwik w Polsce miejsca nie zagrzeje, a komukolwiek bądź ją zda, byle ciężar z bark zrzucił.

Matka mu się napierała, mówiono, zostać w Krakowie. Tu jej swobodniej było, bo sama królować mogła, gdy w Budzie druga Elżbieta młoda stała obok. W Polsce przypominała sobie lata młode, ojca, matkę, brata... a i na przyjaciółach staruszcze nie zbywało, którzy szeptali jej, aby Polskę uszczęśliwiła i sama nią rządziła, gdyż ona właściwie na nią spadała pierw, niż na syna przekazaną być miała.

Nęcił Elżbietę i piękny zamek krakowski, nowo przez Kaźmirza wspaniale zmurowany i przyozdobiony.

Spodziewali się więc Różyce z panią swą na nim rej wodzić.

Wieczorem dworzec wojewody pełen był choć miejsca na nim nie brakło i dla tłumnego zebrania.

Jak znaczniejsza część ówczesnych domostw, Dobiesławowy dom z drzewa zbudowany, obszerny, zewnątrz się nie wydawał, czem był. Izby duże nie odznaczały się też niczem, gdy wojewoda ich nie zamieszkiwał. Sprzęt w nich tak był prosty, jak u najmniejszego z ziemian.

Lecz wszystko to przeistaczało się, gdy tylko wojewoda do dworu swojego zajechał, a drzwi jego miał ludziom otworzyć. Nagie ściany obwieszano wspaniałemi oponami, ławy okrywały poduszki i sukna, podłogi zalegały kobierce, stoły zawieszano szytymi obrusami, police napelniały sre-

bra i naczynia drogie. Szopa się na pałac, jakby czarodziejską różeczką, zamieniała.

Tak samo puste komory i zastygłe kuchnie, gdy pan przybył, zasypywano, zarzucano zapasami, i od rana do nocy uczta trwała pod dobrą ochotą.

Syn Krzesław gospodarzył tu wraz z ojcem a tak się oba rozumieli, iż jako jeden człek, bez słowa i namowy, czynili w myśl swą zgodnie.

Zawisza mieszkał osobno, jako duchowny, a teraz więcej przy starej królowej przesiadywał dworując, niż u ojca. Przecież dzień żaden nie upłynął, aby się tu z wesolą swą, piękną twarzą nie pokazał i nowinki jakiej nie przyniósł.

W wielkiej izbie pod wieczór gwarno było i niemało dostojnych się ludzi zebrało.

Nie licząc pomniejszych, oprócz wojewody gospodarza i dwu synów jego, u małego stoła z osobna zasiadali Przedysław z Gołuchowa, wojewoda kaliski, który jeszcze za Kaźmirza rządy w Wielkiej Polsce sprawował i dotąd je dzierżył; Jaszko Kmita, Pelko Zambra, sędzia sandomierski, Wileczek z Naborowa krakowski i małego wzrostu księżyna, Jan Radlica, który naówczas już jako lekarz uczony słynął.

Ci, co znali otaczających wojewodę, łącznie dojrzeć mogli, iż w kółku tem niemal sam jeden Przedysław z Gołuchowa był, który więcej do starego dworu, niż do nowego należał.

Sędziowie obaj już, jak mówiono, ujęci, mieli przeciw testamentowi króla nieboszczyka wyrokować, ks. Jan też około starej królowej z medycyną swą chadzał, choć ona jej niewiele zdawała się potrzebować, cudowną wodą jakąś, którą się codzień obmywała, utrzymując świeżość plei i zdrowie.

Dla pana Przedysława z Gołuchowa, któremu jako Kaźmirzowemu słudze, niespełna dowierzano, powściągliwie prowadzono o sprawach bieżących rozmowę, oczyma sobie dając znaki.

Opodał nieco od stołu, rycersko a pięknie wyglądający, w sukniach z przednich tkanin, w półzbroi szmelcowanej, stał urodziwy bardzo mężczyzna. Był to Otto z Pilicy.

Ten i dla urody, i dla gładkości obyczajów, a umiejętności przypodobania się, już był na dworze starej królowej widziany dobrze i należał do tych których jako przyszłych ulubieńców wytykano.

— Cóż tego! — mówił powolnie, oczyma mierząc otaczających, wielkorządcę poznański — król się nam obiecał do Gniezna?... Trzeba go nam tam koniecznie. Nasi Wielkopolanie zazdrośni są, żeście nam korony z Gniezna zabrali i starą stolicę poniewieracie. Niechbyśmy go choć u grobu Mieszka zobaczyli.

Dobiesław uśmiechnął się.

— Poco króla trudzić? — odparł — albo to my a wy nie jedno stanowimy ciało? Wszakci Bogorya wasz go nam wszystkim ukoronował?

Westchnął Przedysław.

— A no — rzekł — Wielkopolany nie poniewierajcie. Korona ta, coście ją sobie do Krakowa wzięli, u nas ukuta została. Po Chrobrym ci ją macie i po Przemku naszym...

— Stare dzieje! — wtrącił ksiądz Zawisza śmiejąc się. — Bądźcie pamiętni tego, że nieboszczyk król, którego pamięć czcicie, chciał jednej Polski...

— My też jej chcemy — odparł Przedysław, — aliści w jednym człeku jest rąk dwoje i oczu dwoje, tak i u nas.

— Cóżby to było? — przerwał Dobiesław żywo, — anoby nowy król, gwoli różnym ziemiom, każdej z osobna chyba koronować się musiał, i jak było jedenaście na pogrzebie chorągwi, tak byście go jedenaście razy namaszczać musieli?

Śmiech się rozległ dokoła, a Przedysław namarszczył się nieco.

— Juźci — rzekł — Kujawy osobno koronować go nie potrzebuja, ani się o to Sieradz upomni, ale Wielkopolska, gniazdo polskie... piastowskie...

— Z Piastami się skończyło! — mruknął sędzia krakowski.

Gdzieś w dali ozwało się jakby westchnienie.

Otto z Pilicy słuchał milczący, a gospodarz dodał, łagodząc wielkorządcę wielkopolskiego, który z za stołu wstawał, jakby odchodzić myślał.

— Król do was jedzie, nie frasujcie się, będziecie go mieli u siebie.

Nie chcąc drażliwej przedłużać rozmowy, Przedysław za kołpak wziął i skłonił się naprzód gospodarzowi, potem dokoła i ku drzwiom zmierzał, odprowadzony grzecznie przez Różyców.

Po odejściu jego czas jakiś trwało milczenie, spoglądali po sobie wszyscy, jakby się przekonać chcieli, że teraz sami z sobą są i swobodnie mówić mogą.

— Królowi Ludwikowi będzie co czynić w nowem królestwie — westchnął Dobiesław. — Dzieciństwo wziął piękne i bogate, ale troski z niem sporo... Mazury się oderwały precz, z Rusią się będzie ciężko bronić Litwie, Brandeburgi i Sas już nas kásają.

Potrząsnął głową.

— Dodajcie i to — cicho bardzo szepnął sędzia krakowski — że choć testament i dawne pakta tron zapewniają Ludwikowi, ale dyabeł nie śpi... Piastów i Piastowiczów jest dosyć i takich, co ino w nich krew królów prawych widzą, także nie mało.

— Daremne rzeczy i próżny to strach — odparł żywo wojewoda. — Juźci ani Stanisław Opol-ski, ani Każko Szczeciński, ani Mazowiecy się nie pokuszają.

— Za nikogo nie ręczę — rzekł sędzia, głową potrząsając. — Samby może żaden się nie poważył, ale warchoły namówią. Śmiech o tem wspo-

minać, a jabym i za Włodka Gniewkowskiego, co się pono zakapturzył kędyś i z mnichami śpiewa w chórze, nie ręczył.

Śmiać się w istocie drudzy zaczęli.

— Chybaby rozum stracił, ktoby go przeciw panu naszemu chciał prowadzić — ofuknął Otto z Pilicy. — Na Gniewkowie sobie rady dać nie mógł i to księstwo, które do łada worka schować można, porzucił, co mu o koronie myśleć?

— Tak ci, tak! — rzekł szydersko sędzia. — Małe księstwo porzucić nie żal, bo, co po niem, wielka troska? ale o ogromne królestwo warto szyi nadstawić...

— Na to — zawołał Otto z Pilicy — ogromne serce i prawieć mieć trzeba potężną, no a tych właśnie wasz mnich nie miał nigdy.

Znowu zamilkli trochę, a potem ci, co u stoła siedzieli, nachyliwszy głowy ku sobie, cicho coś szeptać poczęli.

Do wojewody schodziło się tylu różnych ludzi, którzy nie wszyscy z nim trzymali i których on nie był pewien, że poufne zwierzenia musiały się szeptać od ucha przenosić do ucha.

Więcej niż kiedykolwiek po śmierci króla Każmirza zarysowały się dwa obozy przeciwne. Jedni w nowem panowaniu osobistych szukając korzyści, cieszyli się z niego i starali tylko jak najlepsze ze dworem zawiązać stosunki, drudzy jaśniej widzący, już upatrywali przyszły kraj upadek, zawikłania i nieład, na jaki go obojętność Ludwika narazić miała.

Nie ukrywał się węgierski i dalmacki król z tem lekceważeniem spadku po wuju, a raczej po matce, brał go niechętnie, chciał z niego wyciągnąć jak największe dla siebie korzyści, ale serce jego i umysł był gdzieindziej.

Wstręt miał do Polski, śmierzdiały mu polskiej szlachty kozuchy i buty; kraj ten miał za barbarzyński, za dziki. Rad był go, jako dzie-

dzietwo dla rodziny zatrzymać, ale nie chciał tu ani mieszkać, ani rządzić.

Rozpowiadano sobie pogardliwe odezwanie się Ludwika i chwymano oznaki niechęci, której nie umiał i nie zadawał sobie pracy zataić.

Już za Kaźmirza poczynający kielkować antagonizm dwu głównych dzielnic, z których się Polska składała teraz, gdy energicznej, jednozącej dłoni zabrakło, coraz dobitniej i silniej występował.

Na pogrzebie, jak tłuszcz od wody, wydzielali się osobno chodząc, stając, radząc Wielkopolanie. Zbijali się w osobną gromadę, unikali Małopolanów.

Bogoryę oblegano ciągle, domagając się, aby Ludwika skłonić do ponowienia koronacyi, do ukazania się choćby w ornacie koronacyjnym i majestacie całym w Gnieźnie. Król Ludwik zniecierpliwiony, ruszając ramionami, półgębkiem coś przyrzekał.

Badź co bądź miał jechać do Wielkopolski, choć Węgrowie, jak on, stęsknieni za domem, żyli się i łajali.

Goście ci, u boku Ludwika wciąż będący, straż jego i dwór składający, wcale się nie starali pozyskać serca Polaków. Dumne pany patrzyli z wysoka na nich i obchodzili się z nimi, jak gdyby byli nie w dziedzicznej, lecz w zawojowanej ziemi.

Wszystko to zniechęcało coraz bardziej.

Zachwianie testamentu nieboszczyka króla, zmiana i poodbieranie legatów, obejście się wdowy po Kaźmirzu, której córki odbierała królowa Elżbieta, dzieci oddalając od matki, oburzały wielu.

Najazd Litwy, strata Santoka, oderwanie się zupełne lennego Mazowsza, zachwiana znowu jedność państwa, smutną przepowiadały przyszłość. Liczba niezadowolonych rosła, a duma Ludwika sere mu nie pozyskiwała.

Już dnia tego dostrzedz było można w cza-

sie pogrzebu, wśród oznak głębokiego żalu, niemniej widoczne symptomata odrazy.

Na zamku przy żałobnym chlebie, u tego samego stołu, u którego niezapomniany król Kaźmirz tak uprzejmie przyjmował gości, przemawiał do nich tak serdecznie własną ich mową, słysząc teraz było język włoski, francuski, niemiecki, łaciński, tylko polskim się nikt nie odzywał.

Na stary dwór Kaźmirzowy nikt nie patrzył, służyć mu nie dawano, podczaszy Węgrzyn opowiadał napoje, stolnik, komornicy z Budy przybyli zajęli miejsce Polaków, odepchniętych od sprawowania swych obowiązków.

Jedna stara królowa miała przy sobie kilku młodzieży z tych, co w obcych krajach bywając, języki inne rozumieli, lecz i ci za Węgrami stać musieli.

We wszystkim czuć było panowanie obcych, a pamięć Kaźmirza w większym jeszcze blasku przed oczyma stawała.

Pomiędzy gośćmi wojewody Dobiesława był i ten dworzanin króla, wzrostem i postawą do niego podobny, który czasu pochodu osobę zmarłego przedstawiał.

Zrzucił on był swe bogate szaty ze skarbca wzięte i przywdział żałobę, jak wszyscy, co do dworu nieboszczyka należeli. Zwał się Lasotą Nałęczem, a w rodzinie, w której wszyscy obyczajem wieku mieli jakieś przewiska, z młodu go wolano Mrukiem. Pięknej urody, posępny zawsze i smutny, zachmurzony, milezący, znanym był z tego, że albo mileżał, pomrukując tylko niezrozumiale, lub wybuchał z jakąś ognistą wymową straszną, która, jak ukrop, wytrysnąwszy, nagle potem, gdy się opamiętał, ustawała i grobowem, upartem kończyła się milezeniem.

Lasota Nałęcz na dworze Kaźmirza był jednym z podkomorzych jego, a że w Krakowie i przy

królu mieszkał, matkę mając tylko jedną, tę też tu sprowadziwszy osadził.

Choć Nałęczów siła już było i w Małej Polsce, Lasota Mruk z Wielkiej Polski pochodził i tam miał dalszą rodzinę.

Wybrano go na obchód ten, jako najpodobniejszego z postawy do króla, aby nieboszczyka przedstawiał. Jemu, jak jemu, zaszczyt ten może nawet był miłym, ale strwożona macierz, uważając to za złą przepowiednię, zrazu pozwolić na to nie chciała, łamała ręce, płakała i potrzeba było perswazyi wymownego Jana z Czarnkowa, podkanclerzego, przyjaciela domu, aby rozławiona staruszka syna puściła na pogrzeb.

Lasota też, co z początku do serca nie brał swej roli, trwogą macierzyńską został zarażony. Od chwili, gdy z kościoła wyszedł i przyłbicę długo spuszczoną podniósł, nie przemówił słowa.

Milczący tak, gdy go wojewoda Dobiesław zaprosił, poszedł doń, słuchał rozmów, nie odzywał się, posiedział, powstał tu, a gdy żwawsze gawędy poczęły na gromadki dzielić gości, nie mający tu co robić, ku drzwiom się posunął.

Był w progu już, gdy syknięcie za sobą posłyszał. Obejrzał się. Szedł za nim mężczyzna od niego starszy, ogorzałej twarzy, brwi krzacastych, ubrany żałobnie, ale pańsko. Nieznany mu był, sądził więc, że syknięcie dla innych uszu było przeznaczone i dalej iść chciał, gdy ów nieznajomy za rękę go ujął śmiało, jakby do tej poufałości miał prawo.

Mruk zaś z sobą poufale lada komu przestawać nie dawał. Zdziwił się.

Trochę jakby z pośpiechu jakając się, nieznany człek począł:

— Lasota Nałęcz? Mrukiem cię zwą?

Głowy tylko ruchem zatrzymany potwierdził.

— Dobrze, żem cię ujął — rzekł oddychając ciężko, a czapkę na głowę nakładając i nie pu-

ściwszy Mruka nieznany pan — dość ci wiedzieć, że i ja Nałęcz Dersław z Wielkopolski, powinieś znać, jakie nas powinowactwo wiąże?

Spojrzał mu w oczy. Mruk dotąd dosyć dumnie spoglądający, spokorniał widocznie, do czapki rękę przyłożył.

Starszy ujął go pod rękę. Czegoś mu pilno było i jakby gorąco w tej łaźni wojewodzińskiej, z której wychodził.

— Idźmy kędy razem — odezwał się z cicha, — potrzeba mi cię, mówić o czem mamy... a niekoniecznie dobrze, aby nas wszyscy słuchali i słyszeli.

Okiem pomruknął. Stali już w ulicy.

— Jeśli nas dwu ma być na rozmowie — odparł Mruk — możebyście do dworu mojej matki raczyli. Nie mam izb tak wspaniałych, jak pana wojewody, ale ciepły kąć się znajdzie.

— Innym czasem — rzekł żywo Dersław, — a no przedewszystkiem — tu mu bystro spojrzał w oczy. — Mów mi jako ojcu, bo bym nim mógł być, szczerą prawdę. — Radeś ty z tego Ludwika i z tej starej baby, której młodzieniaszki służą? Widzi ci się, że to z tem dobrze będzie? he?

Zagadnięty Mruk, zwykle do odpowiedzi nieskory, zmarszczył się mocno i zadumał długo.

Dersław nogami tupał.

— A no! — zawołał — dobądź, co masz, z pod wątroby?

— Za żalem po nieboszczyku — począł Mruk — człek nie miał czasu pomyśleć jeszcze o czem innym. Ale co tu się dobrego spodziewać? Obcy ludzie...

Ramionami poruszył.

Dersław, jakby mu tego dosyć było, ujął go znowu pod rękę.

— Chodź ze mną — rzekł.

Przyśpieszyli kroku.

W ulicach miasta, choć wieczór nadchodził

i godzina, o której zwykle bramy się zamykały, a ludzie do domów wracali, zbliżała, dla natłoku gości obcych bardzo jeszcze było ruchliwo. Snuły się kupki podchmielonych, niepogrzebowe wyśpiwując piosenki. Tu i owdzie krzyk niewieści, na pół ze śmiechem, wybuchał i nagle ucichał.

Przez otwarte drzwi browarów biło pozapalane w nich światło i gwar szedł na ulicę, tak izby jeszcze pełne były. Pacholkiwie prowadzili konie od wody; kramarze zapuszczali okienice i zamykali ławki. Gromady mieszczan, gwarząc stały podedrzwiami domów. Świeciło się wszędzie, ruszało żywo.

Po drodze spotkali jadących z zamku z pocztami ziemian, przeprowadzanych z latarkami przez chłopaków duchownych.

W rynku ulicy Floryańskiej jeszcze gęściej znaleźli ludzi, a tu właśnie Lasotę Mruka Derśław prowadził.

W drodze nie prawie do siebie nie mówili, Derśław dyszał zasapany. Doszli wreszcie do pokątnego domostwa, któremu starszy Nałęcz przyrzekał się wprzód dobrze, nim do bramy zastukał, bo ta była zawarta.

Niedobrze z miastem obeznany, obawiał się snać omylić i dopiero znaki balwierza wywieszone zobaczywszy, dwie miski mosiężne nad wroty, dobijać się począł do bramy.

Dworzec balwierza był duży, na dole zamknięte okienice, tylko prążki światła przepuszczały, na wyżkach w izbie górnej troje okienic przysłoniętych widać, a w nich blask wielki i po błoniach przesuwające się cienie ludzi.

Gdy wrota odparto, a oba weszli do sieni, Derśław się zatrzymał i tchnął, jakby mu powietrza w piersiach zabrakło. Położył rękę na ramieniu Mrukowi.

— Jeżeliś ty króla kochał, jak należy — rzekł — no, to ci i jego korona droga i Piastów krew też...

i — co posłyszysz, o co się pytają, z tem się po ludziach nosić nie będziesz.

Mruk się zdziwił trochę.

— Dosyć mi na tem, że wy, panie ojcie ze mną jesteście — odezwał się — pójdę po waszej myśli jak się patrzy.

Wschodków na górkę po ciemku domacać się nie było łatwo, począł więc Derśław wołać, jakby u siebie doma był.

— Żuczek! sam tu!

Za drugim huknięciem na górce się drzwi rozwarły, światło z nich potoczyło się ku nim i Derśław, opierając się na Mruku, począł, sapiąc, wspinać się niewygodnymi wschodami na wyżki.

Powołany Żuczek, pacholik, z drzazgą w ręku, naprędce zapaloną, czekał na nich u wnijsia.

Sionka była mała naprzód, za której nieszczelnymi drzwiami wielką wrzawę głosów słychać było.

Kilkanaście różnych odzywało się naprzemian i głużyło. Derśław, drzwi popchnąwszy, wszedł, prowadząc za sobą Mruka.

Izba na górce dosyć była przestronna, ale niska, tak, że roślejsi z gości, rękę dobrze podniósłszy, mogli belek dosięgnąć na pułapie. Ogień się palił na ogromnym kominie, z kilku kłód suchych nałożony.

Ludzi tu było pełno. Jedni na ławach siedzieli, drudzy o stół oparci stali, inni się przechadzali, rozprawiając żywo i głośno.

Widać było, że swoi wszysey, nie obawiali się ni podsłuchu, ni zdrady.

Goście to byli poważni w większej części lat już nie pierwszych, z odzieży mierząc ich, dostatni, z twarzy wnosząc, nawykli rozkazywać, nie słuchać. Gdy Derśław wkroczył, obejrzeni się ciekawie ku niemu i powitali, wołając:

— Toż i on!

Lecz przybysza zobaczywszy, zamilkli.

Dersław Lasotę po ramieniu uderzył.

— Nałęcz jest — rzekł — mój pokrewny, kormornik nieboszczyka, świadom tu dobrze wszystkiego, a pewnie myśli to, co i my, bo po panu płacze. On to osobę jego na pogrzebie wystawiał.

Ciekawie popatrzone na przybysza, który stał milczący. Dersław się obrócił ku niemu.

— Wszysey my tu swoi — rzekł — ludziska dobre. Zeszliśmy się nie o swoją skórę radzić, ale z boleścią naszą się wygadać. Słuchajże, a bądź baczny. Żebyś wiedział, kogo przed sobą masz.

Wskazywać począł.

— Stary ten, Moszczyc się zowie... ten siwy drugi, Oswald jest z Płonikowa, a oto brat Przedpełk ze Staszowa, pan Stefan ze Trłaga od jeziora, i Wyszota z Kórniku, i...

Począł liczyć innych, a było ich tylu, że Mruk mało mógł spamiętać.

Na chwilę przerwany rozmowom pilno musiało być na nowo się zawiązać, bo już niektórzy się wyrywali, gdy Dersław, jakby w domu był, na Żuczka zawołał:

— W gardle mi zaschło! Napiłbym się piwa innego czasu, a no, kiedy te pany Węgry tylko wino smokeczą, już mi wstyd od nich gorszym być. Żuczek wina dzban.

Śmieli się niektórzy, nikt nie protestował.

— Dobra rzecz wino — ozwał się Przedpełk ze Staszowa — zwłaszcza, gdy je kto umie korzeniami przyprawić i osłodzić, ale jabym się zaklął pókim żyw go nie kosztować, byleby tu na Węgrów nie patrzył.

— No, i ja! — rzekł, śmiejąc się Stefan z Trłaga.

— A ja też — ośmielił się dodać Mruk, na którego za to oświadczenie spojrzeli wszysey przyjaźnie.

— Dajno pokój — chrapnął z kąta staruszek

Moszczyc — jakby wina nie stało, tobyśmy Mszy świętej nie mieli, a bez niej żyć nie można.

— Ba — odezwał się drugi stary z Płonikowa — tyle, co do Mszy świętej potrzeba, i u nas się znajdzie. Nasadzili go Benedyktyni u nas i na Czechach.

Wtem Żuczek wniósł dzban i z pewną ostentacją na stole go postawił, a kubki wyciągać poczęto.

III.

Już z pierwszego zakroju rozmowy Mruk się domysleć mógł łatwo, między jakimi ludźmi był i jaki tu duch powiewał.

Jak u wojewody Dobiesława, wśród Ludwikowych i Elżbiety dworaków i ulubieńców ciasno mu było i duszno, — tak tu czuł się między swymi.

Nie sięgał on tak daleko myślami, żeby aż możliwość pozbycia się Węgrów przypuszczał, ale mu z nimi źle było i srom czuł, że oni tu panować przychodzili i żal mu było, że już skarbiec królewski dostał się w ich ręce, a nawet mówiono, że Ludwik, wywiezie korony z sobą do Budy bojąc się, aby mu niemi innego króla nie ukorowano, gdy zejdzie z oczów.

Przy kubkach zaraz gwarzyć poczęto.

Dersław na ławie siadł i w boki się podparł.

— Ja przy swoim stoję — rzekł. — Nieboszczyk król pan był złoty, serdeczny, prawy ojciec nasz, Panie Boże mu daj chwałę wieczną, ale że w końcu pobłądził, to pewna. Wiele uczynił dla korony tej, bo któż nad niego więcej? aliści miał ją dożywotnią w opiece, i nią, jak suknią, rozporządzać nie mógł. Dokuczała mu siostra, aby ją synowi jej dał, nie dali spokoju, osaczali, męczyli, puscili ją na Węgry. Ależ nie on ostatnim Pia-

stem był, a korona to Piastowska. Łoktkowe państwo nie było — Piastów było. Toćbym wolał Mazurę na pana, choć szepleni, wolałbym którego ze Ślązaków, wolałbym Każka, wnuka nieboszczyka, którego on sam wychował, wolałbym Władysława Opolczyka, niż tego Węgry Francuza, któremu my śmierzim i on nam.

— O! o! o! — odezwał się ktoś z kąta głosem grubym — tylko nie Opolczyka! Niemiec jest choć Piast, jak Ślązey. Już się to przekabaciło zupełnie.

— Pan rozumny — wtrącił ktoś.

— Ale rozum ma nie nasz — rzekł Przedpełk. — Gadaście, co chcecie, rozum nie jeden jest; co mi po niemieckim rozumie?

— Każko — przerwał stary Oswald — serdeczne chłopię, ale wątle, ja go znam. Do wszystkiego by się rwał, a przy niczem nie ustoi.

— Co tu gadać o tych Piastach! — wtrącił Wysota z Kórnik. — Ja wam powiem jedno: Opolczyk z Ludwikiem będzie trzymał, to jedna wiara; gdyby mu dawać koronę, nie zechce. Woli spokojne księstwo, a walka długa, nie jego rzecz. Każko też, byle Dobrzyń miał, tego mu dosyć, a nawykł Elżbietę i Ludwika szanować. Mazur, choćby Litwę do siebie ściągawszy, mógł się wyżyć, nie zechce, boby go Krzyżakami nastraszone, a Węgry by mu Mazowsze jego plądrowali, o które stoi. Dla mnie jeden jest tylko, coby go można wziąć i poszedłby.

Wszyscy nań spojrzeli.

— Kto? kto? — poczęli pytać.

— I Piast, i blizki, i taki człek, co nie do stracenia nie ma. Taki pójdzie najłatwiej, gdy mu lada nadzieja zaświeci.

— Któż? — zaczęto naglić.

Wyszota dał im czekać i odgadywać, głowę tarł, nie pilno mu było odkryć, o kim myślał. Wreszcie zamruczał:

— Ano Biały, Gniewkowski!

Dersław ręką zamachnął szeroko.

— Toć go postrzygli, mnich jest, co nam po nim! — zawołał.

— Mnich! jakby to Kaźmirz też mnichem nie był. Papież go ze ślubów zwolni dla korony.

Milczano trochę.

— Kto z was Białego lepiej znał? — mruknął zwracając się ku starym, Dersław.

— Jakbyś nie wiedział — odparł Moszczyc, — żem ja u niego kasztelanem był, a Oswald (wskazał na siedzącego obok) też mu urzędował. Nie taki to stare dzieje, lat parę dziesiątków. Nikt go nad nas lepiej nie zna.

Milczano słuchając, a stary Moszczyc, jakby chciał się namyślić, co dalej powie, kubka nachylił i powoli wino z niego ssał po kropelce.

— O tym Białym książątku — zaczął tymczasem Dersław — tak różne wieści chodziły, tyle o nim prawiono, że nie wiedzieć, czemu wierzyć. Ze wszystkiego, com słyszał, on mi się nie wydaje lepszym od drugih.

— Ani lepszy, ani może gorszy od drugih — przerwał stary Moszczyc, — ale do żadnego innego niepodobny; kto wie, coby z niego było, gdyby mu siłę dać i gdyby nad nim słonko zaświeciło. Z człowiekiem, bracie, jak z drzewem: może być kółkiem w płocie i osadą chorągwi.

Dersław głową potwierdził i uśmiechnął się.

— Tak, prawdaby to była, gdyby człowiek kłosem był, a nie Bożem stworzeniem, które ma przecie wolę i rozumu trochę. Ale no, kiedy go znacie, prawcie nam, co on za jeden ten Biały, dobrze to wiedzieć na wszelki raz.

Wszyscy się obejrżeli na Moszczycę, który splunawszy, mówić się gotował.

— To przecież wście — odezwał się, — że dziad jego, Ziemonysł, był Łoktka rodzonym bratem, ale brat w brata nie wszyscy do siebie podobni.

Siedział spokojnie na małym Gniewkowie i mało o nim słyhać było. Synów miał trzech, którzy się jego spuścizną, Bydgoszczą, Gniewkowem i Inowrocławiem podzielili, ale dwu zmarło bezdzietnych, a Kaźmirz tylko Gniewkowski dwoje, syna tego od włosów nazwanego Białym, i córkę, którą wydali za Bośniackiego króla, zostawił. Teraz tej Elżbiety córkę, a siostrzenicę jego, wziął ten niby nasz król Ludwik. Biały z początku na swoim dziale siedział.

— Wyście mu wówczas kasztelanowali — dodał Dersław.

— Tak ci było — uśmiechnął się Moszczyc — bo, choć księstwo niewielkie dzierżał, ale dwór chciał mieć liczny i nie gorszy, jak drudzy. Jam był kasztelanem, byli i podkomorzowie, i marszałek, i podczaszowie, i kanclerz, i wszystkie urzędy dostojęstwa. Siostra została królową, brat też wysoko patrzył. Naturę miał dziwną. Jakby dwóch ludzi w sobie nosił. Podczas bywał spokojny, cichy, gnuśny niemal, niepragnący nic, obojętny. Robili koło niego co chcieli, słowa nie rzekł. Nagle przychodziło coś nań, jakby go owad zły pokąsał. Budził się z tego zaspania, rwał, targał, byle czem jątrzył, z całego świata nie rad był, narzekał i życie sobie zbrzydzał.

Narzucawszy się tak, nakrzyczawszy, napałdo go nabożeństwo, skrucha, żal, lzy, zwątpienie, obrzydzenie świata i ludzi.

Potrwało to czas jakiś, wracał do życia, więc gotuj łowy, dostawaj psów, zbieraj ludzi: dzień i noc w lesie, aż sił zabrakło. Bywał wesół i potrzebował koło siebie ochoczych, to znowu smutny, jak noc, i w komorze się zamykał. Na dworze jednego dnia książdz miał pierwsze miejsce, potem łowczy, nareszcie lada błazen, który go śmieszył.

Widziałem go w takim gniewie, że oszczepem za ludźmi rzucał, to znowu dobrym, choć do rany przyłożyć.

Za młodu uczył się dosyć i mówiono, że umiał tyle, co książdz. Sam sobie z pargaminów czytał, lektora nie potrzebując. Po polsku mówił, po niemiecku, bodaj po łacinie i po włosku. Wszystko było w nim, bo i twarz i postać miał piękną, tylko — statku nie było. Prawdę rzec, grała w nim wielka krew, wielka pycha, wielkie rządze, których uspokoić czem nie było. Los go drażniąc, takim uczynił.

Gdy go wreszcie ożenili, myśleliśmy, że uspokoi się, gniazdo uściele i siedzieć na niem będzie, nie pragnąc więcej.

Żonę wziął młodziutką, śliczną, wesolą jak dziecko, a że się oboje miłowali, zdało się, iż raj z nią przyszedł.

Włodek się zmieniał, stał dobrym, i przy jej krosnach i kądzieli ustawicznie siedział. Śpiewała mu, słuchał, opowiadała, radował się każdym słowu, przepadał za nią. Za próg dworu od niej odejść ni odjechać nie chciał, prawie go wypędzać musiała.

Jak we wszystkim gwałtownym był, tak i w kochaniu, a myśmy tylko cicho szeptali.

— Daj Boże, aby mu się i to nie przejadło.

Księżna, jak piękna i świeża, tak bardzo wątła była. Niewiadomo z czego wkrótce zaczęła blednąć i słabieć. Przestraszony książę słał do Krakowa po mistrza Mateusza, ściągnął drugiego od Brandeburskiego księcia. Dali jej ziele jakieś pić.

Tymczasem coraz było gorzej a gorzej. Miłość męża jeszcze rosła, ona też i żyć i miłować go chciała, ano, przeciw woli Bożej ani lekarze, ni modlitwy nie pomaga.

Zwiedło nieboraczątko, jak zwarzony kwiat... umarła.

Książę, z żalu niepomiernego, prawie oszalał. Przystąpić doń, słowa rzec nie było można, przytomności zbył. Baliśmy się, aby sobie złego czego nie uczynił. Posłano cichaczem po Alberta,

księcia Strzeleckiego, ojca nieboszczki. Przybył on, ale ani ten, ani żaden człowiek, mocy nad nim nie miał.

Po pogrzebie przywdział szaty żałobne, zamknął się, począł modlić, księżmi otoczył. Nie mu już nie było w smak, mówił, że życie zbrzydło, począł prawić, że dla niego tylko klasztor został i cela mnisza.

My, cośmy go zdawna znali, wiedzieliśmy, że się to jeszcze z czasem wszystko odmienić może. Tak się i stało.

Wszyscy żal nad nim mieli. Był mu przyjacielem zdawna, i od niego ulubionym, Bodeza, starosta w Drdzeniu, człek już niemłody, który synów kilku i jedną młodziuchną córkę miał.

Widząc go tak śmiercią żony zgnębionym, począł Bodeza do niego dojeżdżać, to sam, to z synami, aby go rozerwać i pocieszyć. Ciągnęli go z sobą, prawie gwałtem, na łowy, na turnieje różne, zapraszali go do Drdzenia, gdzie czasem po dwa i trzy dni utrzymać go umieli.

Córeczka też, Bodezanka, młode dziewczę, piękne bardzo, wychodziło doń, gdy u stołu siedzieli; posługiwała, śpiewała, szczebiotała. Książę, choć po żonie rozpaczał, a na niewiasty ani spojrzeć nie mógł, dla wielkiej boleści wspomnienia tej, którą utracił, przecie Bodezanki Frydy owej pieśniom się przysłuchiwał rad, i płakał słuchając, mówiono, że jej pierścień darował, a ludzie szepotali, iż dziewczę się w nim więcej rozmiłowało, niż było potrzeba. Bo książę pono ani myślał o niej.

Ale że mu w Drdzeniu było lepiej niż w Gniewkowie, bo tam o swej stracie zapominał, dawał się do nich wyciągać. Myśmy prorokowali wówczas, aby bodaj dziewczki staroście nie wziął.

Tymczasem się inaczej stało. Poszedł zatarg o lasy nadgraniczne. Chciano mu je oderznąć, aktami dowodząc, że do księstwa nie należały. Sporu to nie było warte, bo lasu miał dosyć i na

drzewo, i do łowów, a mało o to zdał się dbać. Lecz pod złą godzinę ktoś mu podszeptał, że Staszko Kiwała, sędzia kujawski, granicę samowolnie na sosnach zarębywać każe.

Książę, usłyszawszy to, rzucił się jak rażony. Konia począł wołać, oszczep pochwyił, ludziom kazano wszystkim się zbierać i na granicę. Gdyśmy zobaczyli, jak wyruszał z podwórca, koniowi ostrogi w boki wraziwszy, prosiliśmy Pana Boga, aby sędziego gdzie nie napotkał, a właśnie Kiwała z Kaliszzanami w istocie sosny znaczył i kopce sypał.

Puścił się nań, zobaczywszy go, książę, łajac odrazu i bezczeszcząc. Kiwała, jak był mocen swem prawem, nie ustąpił. Odparł księciu, że on tu króla osobę na sobie ma. A ten, nie czekając, oszczep podniósł, cisnął i w samą pierś go trafiwszy, w miejscu trupem położył.

Dopiero gdy krew trysnęła i martwy padł, a ludzie, co z nim byli, uchodzić zaczęli, książę osłupiał i poznał, że źle uczynił. Zawrócił konia, o granicę już nie dbając, i pół żywa na siodle ledwie mogąc usiedzieć, do Gniewkowa powrócił.

Położyli go do łóżka. Kazał księży zawołać i nieustannie msze za duszę Kiwały odprawiać.

Tymczasem do Krakowa doniesiono, co się stało, woda Staszka pojechała ze łzami do króla, wojewoda kaliski zawziął się. Król kazał pozwać księcia przed się, a groźnie.

Chciał Włodek zrazu jechać, zerwał się, potem został. Dzień i noc po izbie się tłukł, sam do siebie gadając, to na ławę padłszy, to na łożo, to w kącie mruczając, to okna odsuwając, aby powietrza wpuścić, to ognia paląc.

Naostatek księdza Jeremę, kapelana, który u niego kanclerzem był razem, zawoławszy, z listem go do króla Kaźmirza odprawił i nagle się uspokoił. Z czem pojechał, nie wiedział nikt, bo

Jeremie pod przysięgą nakazał słowem się nie zdradzić nikomu.

Dosyć prędko powrócił posłany, aż zaraz wieść gruchnęła, której z razu nikt wierzyć nie chciał, że książę swoją dzielnicę królowi za kilka tysięcy grzywien sprzedawszy, sam rzuca na zawsze kraj i do ziemi świętej iść chce, a potem bój do klasztoru.

Popłoch się stał, nikt wierzyć nie chciał, a no prawda była. Natychmiast poczęto do drogi wszystko sposobić, sprzedawać ruchomości, inne książę rozdawać począł; koni siła i sprzętu Bodezy do Drdzenia posłał.

A tak mu Gniewków i nas pilno było opuścić, że najmniejsza zwłoka do szalu go drażniła i gniew wywoływała. Dzień i noc gotowano konie i ludzi, choć wiele ich z sobą nie brał, bo kosztu chciał uniknąć. Czterech młodych dworzan i mało co więcej pacholków od koni, było mu na teraz dosyć.

Suknię sobie pielgrzymią czarną, z krzyżem na piersi dał szyć. Na piersi też i na helm krzyż wziął i obdarzywszy niektórych, drugich, jakby znać nie chcąc, w świat pociągnął. Tu się dopiero wydało, jak owa Fryda ze Drdzenia rozmiłowana w nim była, bo gdy już w podróż wyruszywszy do Bodezy zajechał, a żegnali go, powiadali, że padła, jak nieżywa.

Ale o tem pono Biały nie wiedział, bo go inni obstąpili, a rodzina dziewczynę zakryła, sromając się tej miłości jej.

Tu Moszczyc spoczął trochę, winem usta odwilżył i po chwili westchnawszy, ciągnął dalej:

— Co się z nim potem działo, tylkośmy od ludzi wiedzieli i to nie rychło. W początku, jako w wodę był wpadł; dopiero gdy z Ziemi świętej wrócił, Kaczka Jurek, który z nim aż tam był, odprawiony do domu się przywłókł i począł rozpowiadać, ile doznał utrapienia, niewygód różnych,

niebezpieczeństw, i jak, za łaską Bożą, cudem się dostał napowrót, gdy już nigdy się nie spodziewał swoich widzieć.

Książę wprost dojechał przez niemieckie ziemie aż do na morzu zbudowanego miasta Wine-dzii, o którym Kaczka cuda opowiadał, iż tam domy w wodzie stoją, a ludzie, zamiast wozów i koni, czółen używają kirem obitych. Ztąd na statek wielki siadłszy, za morze się puścili, a burza sroga miotła nimi długi czas, tak, że tylko śmierci już wyglądali, gdy cudem wyrzuciwszy w morze jednego złego czarownika, który na okręcie był i wszystkiego stał się przyczyną, wnet się ono uspokoiło i na ląd dostali.

Jak potem po tej Ziemi świętej o wielkim głodzie i skwarze, często garścią maki, figami i suchemi owocami żyjąc tylko, na osłach, wielbłądach i pieszo całą pielgrzymkę odbywali, Grób Zbawiciela i kolebkę i wszystkie miejsca święte pobożnie zwiedzając, cało wyszli, choć ich rozbójnicy ścigali, i choroby z wody tamtejszej i upałów trapiły, ani spamiętam dziś.

Dosyć, że książę, napowrót statku dostawszy, znowu do owego miasta w morzu przybył i ztamtąd na cesarski dwór do Wiedenia ciągnął.

Kaczka powiadał, że niepewien był jeszcze, co z sobą uczyni. Jednego dnia się do klasztoru wybierał, drugiego rycerskie rzemiosło przekładał. Z księżmi obcując, ich obyczaj przybierał, trafiawszy na ludzi innego rzemiosła, do nich się garnął. A że na dworze cesarskim tak jak powinowatym był, spodziewał się tu może wielkiego losu. Zawiodły go pono nadzieje, gdyż rychło się na nim poznano, że jak był serca wielkiego, dumy znacznej, tak statku żadnego.

Przechyliła się jakoś waga ku rycerskiej sprawie. Może też szukając, co lepszego dlań było, w krzyżackim zakonie razem i mniszy habit i orężne rzemiosło myślał znaleźć.

A że podówczas właśnie z całego świata ochotnicy się zbierali do Malborgu, na wyprawę przeciwko Litwie, posłyszeliśmy nagle, że nasz książę tu przybywa.

Kaczka dowiedziawszy się o nim, nie strzymała, i że go miłował bardzo, choć zobaczyć pragnął i pociągnął do niego.

Było to właśnie jakoś po tem, gdy Kiejstut napadł na Angerburg i grodek dobył, a okolice spustoszył strasznie. Chcieli Krzyżacy odwetu, a że gości im naściagało dosyć, bo nawet z za morza, z Anglii jeden znaczny przybył, puścili się na Ejragołę i Pastów, gdzie i książę był z nimi.

Wiadomo, jaka to ta wojna Litwy z Krzyżakami, gdzie nigdy prawie do boju nie przychodzi. Wpadnie Litwin na krzyżackie ziemie, spali, zniszczy, nabierze ludu i ujdzie; pójdą w odwet Krzyżacy, toż samo czyniąc. Tak i tym razem było.

Ledwie książę zwyciężko wrócił z tymi Anglikami, a może zamyślał do zakonu wstępować, bo pono się już o to z mistrzem układał, gdy wieść przysła do Malborgu, że Kiejstut z Olgierdem i Patrykiem, mszcząc się za Ejragołę, około Ragnedy ogniem i mieczem przeszli, a pochwycawszy jednego rycerza Krzyżaka, podobno Hensla z Neuensztejnu, jako stał we zbroi na koniu, bogom swoim na ofiarę żywcem go spalili.

Dopieroż książę, gdy się o tem dowiedział, myśleć począł, że na podobną śmierć narażać się nie było rozumne dla cudzej sprawy. Krzyżacy go też bardzo nie trzymali za poły, bo, oprócz książęcego imienia, mało co im z sobą mógł przynieść.

I tak znowu nasz książę od Krzyżaków ruszył w świat.

— Trudno mu snąć miejsca zagrzać! — szepnął Dersław.

— A nie bardzo się temu i dziwić, że Krzy-

żaków nie pokochał — dodał Moszczyc. — Jechał pono do Awenjonu do papieża, od niego się tam czegoś spodziewając. Tu go też nie przyjęto, jako pragnął. Zużywszy się, z namowy mnichów Cystersów udawszy się do któregoś ich klasztoru, do zakonu ich wstąpił.

— Myśmy bo słyszeli, że Benedyktynem został — rzekł Dersław — choć między szarą a czarną suknią różnica niewielka.

— A no poczekajcie — roześmiał się Moszczyc — i do Benedyktynów trafimy.

Inni milczeli, potrząsając głowami; losy te księcia, na którym nadzieje jakieś zdawano się pokładać, nie bardzo się podobały tym, co mu dobrze życzyli.

— Co za dziw, że u Cystersów nie strzymał — wtrącił Przedpełk — zakon bardzo surowy, a ludzie nie względni. Przecie dla takiego, jak on, winni byli coś uczynić.

— Nie wiem, jak do tego przyszło — mruknął Moszczyc, — ale pono siódmego miesiąca książę z klasztoru, w którym już pierwsze był złożył śluby, uszedł do Benedyktynów do Dyżonu, gdzie go, przywdziewającego już nowy czarny habit, napędzili Cystersi, gdy przysięgę miał składać.

Słyszałem, że się wielki spór wszczął, niemal przy ołtarzu, bo Cystersi gwałtem zbiega odbierać chcieli, a Benedyktyni go bronili. Mnichy się skłócili, ale ci, co na swoim gruncie, a liczniejsi byli, zwyciężyli, i książę u św. Benedykta po dziś dzień pozostał.

Gdy Moszczyc dokończył, milczenie panowało długie. Dersław dziwnie głową potrząsał.

— Nie wiem — rzekł wreszcie — czy na biednego, skołatanego tyłu wypadkami, zniechęconego do życia, liczyć nam co można. Mnich nie mnich, juściby go nam papież oddał, gdyby pięknie poprosić, ale co nam po takim człowieku!

— Nie mówcie tak gorąco — wyrwał się Przed-

pekł ze Staszowa—właśnie człowiek, jak on, najlepszy dla nas, bo nam wszystko winien będzie. Po świecie się kręcił, prawda, miejsca nie zagrzewał, bo mu nigdzie los nie dopisał. Cóż miał czyścić?

Stefan z Trłaga też samo począł.

— Mężny jest, to wszyscy świadczą; krew Piastowska w nim. Czego więcej chcecie?

— A no — rzekł Dersław, — przy krwi tej jabym i głowy chciał Piastowskiej. Wiem ci, że o innego Piasta trudno, alebym już Kaźka wołał.

Drudzy się podnieśli i zakrzyczeli.

— Temu złote góry dawajcie, to go nie zwabicie. Ujął go już Ludwik, jego on jest, a o koronie ani myśli.

— I niema drugiego, krom tego — dokończył Przedpekł.

Zadumał się Dersław.

— Czasu dosyć — rzekł — dziś się to ogaduje tylko, a stanowić zawczasie. Na Ludwika się porwać z lada kim i lada czem trudno.

— Wątpię — ozwał się po raz pierwszy, ale gorąco, milczący dotąd i słuchający z uwagą Lasota Nałęcz. — Wątpię ja, abyśmy z królem Ludwikiem, a on z nami do ładu przyszedł. Pan dla Węgrów, dla Dalmatów i Włochów może taki, jakiego im potrzeba, a nam się nie zdał na nic. Zobaczycie...

— I my tak sądzimy — zwracając się ku mówiącemu, odezwał się Przedpekł. — My, co nas jest Wielkopolan, tego Małopolskiego, krakowskiego króla nie chcemy. A gdy my poczniemy, to i Małopolanie się opatrzą. Króla nam trzeba, coby u nas mieszkał, z nami żył i nas rozumiał. Ten niechaj sobie do Włoch ciągnie, aby mu ciepłej było... my innego, w kozuchu sobie wyszukamy, co mu też nasze kozuchy śmierdzieć nie będą!

Gwar się stał i śmiechy.

— Ino poczekajmy a rozpatrzmy się — powtó-

rzył Dersław. — Tego, czy innego wybierzemy, a kogoś mieć musimy, i takiego, żebyśmy go już mieniać nie potrzebowali.

Poczęli tedy drudzy z miejsc powstawać, żegnać się i wychodzić, a Lasota wkrótce sam na sam z Dersławem na górze pozostał.

IV.

Dersław Nałęcz nie był ani w swej rodzinie, ani w swej okolicy, ani w ziemi swojej człowiekiem wielkiego znaczenia.

Z ludźmi żył dobrze, słuchano go chętnie, ale mu wpływu żadnego nie przypisywano, a on sam, gdy mu kto dał poznać, że on na wpływ ten rachował, wypierał się go jak najmocniej.

Ziemianin był zamożny i należał do szczytu rozrodzonego, który wiele w kraju znaczył, obchodziły go więcej może niż inne losy rodu i dola kraju, lecz krzątając się około obojga, zdawał się umyślnie zasłaniać drugimi. Wołał, ażeby to, co czynił, szło na karb cudzy, sławy z tego nie szukał, a może i troski, jaką ona za sobą ciągnie, chciał uniknąć.

Ci, co go blisko znali, zwali chytrym, czasem lisem, śmiejąc się, a nie było to sprawiedliwym, gdyż Dersław fałszu ani zażywał, ani go innym przebaczał, szedł prostą drogą zawsze, nie lubił tylko zanadto się widocznym czynić dla świętego spokoju.

Mało kto wiedział, jak wiele Dersław mógł i czynił, ile myśli poddał, jak ludzi poruszyć i popychać umiał, przecież żadna sprawa ważniejsza nie obeszła się bez niego. Przyznawano ją potem komu innemu, nie upominał się, uśmiechał tylko.

Chociaż do domu i żony przywiązany, choć dzieci kochający, a już wiekiem mógłby się był tłumaczyć, że spoczynek sobie zapewnił, Dersław z nawyknienia do zabiegów i krzątania nie mógł zaspać. Był szlachecki zjazd jaki, nigdy Dersława tam nie zabrakło; ruszyło się co i zakotłowało, biegł zaraz. Zawołano do Krakowa, gotów był zawsze.

Czasy to, od Przemkowych począwszy, nie mówiąc o dawniejszych, były w Wielkopolsce niespokojne. Za piecem siedzieć mało kto mógł, samotrzeć na gościniec wyjechać trudno się było ważyć. Po nad granicami Sasi i Brandeburczyki łotrowali, od Śląska też wpadali zbóje. W samej Wielkopolsce od Borkowicza się ich namnożyło, brat jego i syn mścili się za umorzonego. Inni za ich przykładem puszczali się na łatwy zarobek po drogach. Obdzierano kupców obcych, a gdy tych nie stało, rzucano się i na swoich. Poważniły się rodziny z sobą, wnet nie szukając sprawiedliwości po sądach, same ją sobie orężem zdobywały. Zajeżdżano dobra duchownym, zagarniano lasy i nieosiadłe ziemie królewskie.

Nieład coraz większy się mnożył, któremu wielkorządcy za oczyma króla podolać nie mogli. Za Kaźmirza już, który rzadko do Wielkopolski zaglądał, Borkowicz począł burzyć umysły, jątrząc swoich ziomków przeciw Małopolanom, Krakowowi i władzy królewskiej.

Tam właśnie, gdzie dla bliskiego sąsiedztwa Krzyżaków, Brandeburgów z ich Sasami i Śląskiem, trzeba było największego ładu i czuwania, najmniej było obojga. Wielkorządca żaden sobie rady z Wielkopolaną dać nie mógł. Bałamucili ich często sąsiedzi, a warchołom dobrze z tem było, gdy się zamąciło, i łowili ryby w mętnej wodzie.

Panu Dersławowi, choćby był chciał spokoj-

nie u ogniska siedzieć, czas by nie dopuścił, a i on sam do tego ochoty nie miał.

Jeszcze przed przybyciem do Krakowa na koronację przekonał się w Poznaniu, że przyszedł król Ludwik prawie wszystkich miał przeciwko sobie. Wielkopolska daleko mocniej od Krakowian i reszty Polski stała przy krwi Piastów. Krzyczano, że król nieboszczyk nie miał prawa ziemią, którą dożywotnie rządził, rozporządzać. Potem zaczęto się domagać, aby przynajmniej koronował się w Gnieźnie, aby sam mieszkał w Polsce; naostatek, czasu koronacji i pogrzebu, duma i lekceważenie doznane od Węgrów, dopełniły miary. Zaczęto mówić o innym Piaście i innego sobie króla szukać.

Dersław tego nie wymyślił, ale kość z kości Wielkopolan, podzielał ich uczucia, a gdy raz na tę drogę weszli, kroczył i on z nimi. Przechylała się waga na stronę tego Władysława Białego, o którym Moszczyc taką długą opowiadał historię. Niebardzo on był do smaku Dersławowi, ale innego pod ręką nie mieli, więc na wszelki przypadek trzeba było lepiej tę rzecz roztrząsnąć i bliżej poznać.

Gdy z Lasotą sam na sam pozostali, Dersław na kominie ognia poprawiwszy, pas rozwiązał; wina sobie i jemu nalał, i nogi grzejąc, począł cichą rozmowę.

— Tyś bywał we dworze — rzekł do Lasoty — cóż myślisz, jak nam z tym Ludwikiem będzie? Przypatrzyłeś mu się? co tam koło niego słychać?

Lasocie mówić tak odrazu łatwo nie było, potrzebował, aby go podpalono. Ruszył ramionami, zamruczał coś niewyraźnego.

Dersław patrzył nań pilno; zmiarkował, że z Mruka nie dobędzie słowa, chyba go potrosze za język ciągnąc i biorąc na spytki.

— Co na dworze mówią, naprzód o królewskim testamencie? strzymują go czy nie?

Lasota głową potrząsł, ale jeszcze się nie odezwał.

— Jak tam na ks. Suchywilka patrzają? — do-
dał Dersław.

Lasota zrobił minę dwuznaczną i jęknął.

— Muszą go szczerzyć, boć znaczenie ma, ale
nie lubią go.

Dersław ręce zatarł, znać go to pocieszyło.

— Niech testament pokruszą — rzekł, — tem
ci lepiej, król sobie nieprzyjaciół przysporzy.

Pomyślał chwilę i westchnął, a zwracając się
do Lasoty dodał.

— Tylko, że to u nas po staremu, na języku
dużo. Ludzie się wykrzyczą, nałajają, naburzą, war-
chołom król nadaniami gęby pozamyka, nie zech-
cą się na guza narażać i słuchać go będą.

Zarumienił się Lasota i dopiero z niego bu-
chnęło, aż się starszy zadziwił.

— No, chyba nie — rzekł głośno — chyba nie!
Z tym królem my nie wytrwamy. Gdy po niego
ks. biskup Floryan z ks. Janem do Budy poje-
chali, choć mu koronę wieźli, której stara Elżbie-
ta tak długo nie łaknęła, zrazu nawet na podróż
do Krakowa nakłonić go było trudno. Drożył się,
wymawiał, ociągał. Matka dopiero go napędziła...
i żeby nie mógł się wymawiać, sama pojechała
przodem. Przyjmowali go w Sączu i Krakowie
wiecie jak... jak zbawcę, jak ojca, a on — nosem
na wszystko kręcił. Teraz co najrychlejby chcieli
skarbiec zabrać, pieniądze zagarnąć — i Ludwik
myśli tylko, jakby co prędzej powrócił do Budy...

— A któż tu będzie rządził? — zapytał Der-
sław.

— Jużci stara pani — odparł Lasota pogar-
dliwie — i jej młodzi ulubieńcy... Zawisza, syn Dob-
kowy, a innych siła w wielkich łaskach. Babie,
aby się kłaniano a prawiono słodycze i zabawia-
no ją, na wszystko zezwoli. Opoleczyka może na

Rusi posadzą, do Wielkopolski pošlą też pewnie
kogoś im miłszego.

Ręką zamachnął Lasota.

— Zaznamy teraz, co to pod obcym być, —
mruknął i siadł.

Dersław nie odpowiedział.

— Ty z sobą co myślisz? — zapytał. — Zosta-
niesz przy dworze, czy nie?

— Nie — stanowczo i z pewnem oburzeniem
odparł Lasota. — Ja lizilapą być nie potrafię, a tu
teraz takich potrzeba, co i kłaniać się i kłamać
będą umieli.

— Cóż poczniesz?

— Ha! — zawołał Lasota — sam spełna nie
wiem. Ojcowizna szczupła, na wieś powracać mi
tęskno, do ludzi nawykłem... Służby rycerskiej
będę szukał i lepszego czasu czekał.

Dersław głową pokiwał.

— Słuchaj — rzekł — nam w Wielkopolsce
teraz będzie potrzeba siła ludzi takich, jak ty...
Czas jakiś pociągnie się może spokojnie, potem
zamąci się i zawichrzy. Wracaj ze mną, siedź
w Poznaniu, zapisz się tam bodaj do wojewody,
jaki on będzie... Zdasz się nam... Prawda, że mów-
ny nie bardzo jesteś, ale nam pono więcej ręki
niż języka będzie potrzeba.

Lasota się zadumał.

— Na dworze nieboszczyka było nas Wiel-
kopolan dosyć... nie źleby było, żebyś ich z sobą
wyciągnął. Krakowianie nam chcą panować sami,
my tego nie zniesiemy, przyjdzie się z nimi roz-
bratać, trzeba swoich ztąd powybierać, niech nie
przepadają.

I pomyślawszy trochę, Dersław dołożył.

— Ze wszystkiego widzę, że nasi bracia na
Białego chorują, i choć spróbują sobie go ścią-
gnąć, my się od swoich odczepić nie możemy.
Niech sobie będzie i Biały, aby Wielkopoleanie
okazali, że też coś ważą. Bodaj zawichrzyć, będą

nas potem lepiej szanować. A na naszego Przecława z Gołuchowa jak tam patrzają? — zapytał stary.

Lasota był znów w usposobieniu milczącym i nieprędko na odpowiedź się zebrał.

— Koso nań patrzają — rzekł nareszcie. Nie wiem, ale mi się zda, że on niedługo na wielkorządach posiedzi.

Dersław się rozśmiał.

— Tem lepiej — rzekł — bo i jego nam dadzą, a jest potrzebny i Krakowiaka nam przysła, to już miary doleją!... Ma być co, niechże będzie na dobre!

Wstał Dersław i ziewnął zmęczony, wyciągając się.

— Późno do kata — rzekł, — ja bym już spał, a i ty pewnie po dzisiejszej służbie wyciągnąłbyś się rad. Do zamku ci nie pora iść, a tam też Węgrzy może na twojej pościeli się wyciągają; każę ci tu słomy przynieść i kobierczyk zasłać.

Stało się, jak gospodarz chciał i po kubku jeszcze na sen dopiwszy, legli oba.

Nazajutrz, gdy Dersław chrapał jeszcze w najlepsze, Lasota już zerwał się z łoża swego, na palcach wyszedł i na zamek pociągnął. Stary jakby wyprorokował, bo gdy do swej izby spieszył, pacholę owinięte w starą opończę, i śpiące w sieniach u drzwi, przebudziwszy się, oznajmiło mu, że Węgrzy podpiwszy, nadedniem drzwi u niego wylamali i gwałtem do izby wpadłszy, spali.

Było ich, jak mówił, trzech, więc Lasota sam bójki z napastnikami zuchwałymi rozpoczynać nie myślał, a że się już we dworze ruszano, poszedł do marszałka Węgrów królewskich na skargę.

Z tym, który już nad polewką gorącą siedział, rozmówić się było trudno. Zamiast w pomoc przyjść wypartemu z własnego mieszkania, począł go jeszcze łajać za niegościnnosć i odgrażać się.

Z niezem więc odszedł Lasota; musiał swoich zebrać kilku chłopów co najtęższych, a takich, którym już Węgrowie dokuczali, i z nimi dopiero do izby swej wpadłszy, przebudzonych i do oręża się porywających Węgrów precz wyrzucił.

Nie odbyło się to bez wrzasku, bójki i bez krzyków, na które więcej jeszcze Węgrów w pomoc swoim nadbiegło.

Poczęli też i Polacy zewsząd pośpieszać, radzi, iż zuchwałych przetrzepią, i byłoby krwawo zajęście się skończyło, gdyby starszy nad wrogami nie przypadł i zmiarkowawszy, że bójka w końcu na niekorzyść wypaść może, swoich z sobą gwałtem zabrał.

Lasocie już po tem zajściu nie było się co dłużej trzymać zamku, gdzie się więcej nie, oprócz pomsty nie spodziewał; natychmiast więc co miał, ściągając począł, konie swe przyprowadzić kazał i juki na nie kłaść, aby z zamku precz iść.

Spostrzegłszy to i inni starzy dworzanie Kaźmirzowi, także na gwałt rzucili się z zamku wynosić.

Stała się wrzawa znaczna, i co spało jeszcze o tej porze, pobudziło się. Węgierski dwór, zobaczywszy Polaków hurmem skupionych i zabierających się gromadnie zamek opuszczać, pomiarował, że z tego nie dobrego nie urośnie.

Ten i ów ze starszyny węgierskiej przyszedł badać i namawiać do zgody, ale słuchać ich nie chciano.

Musieli tedy uciec się do pośrednictwa jakiegoś Węgra, i posłano po Krzesława Różyca, syna Dąbkowego, aby im w pomoc przybywał.

Zdyszany nadbiegł, i gdy mu oznajmiono, o co szło, pośpieszył do dworzan o przyczynę pytając.

Lasota nawet odpowiadać nie chciał, ale na jego miejsce, dobrze wyprawną mając gębę, Pełka Sreniawczyk, zwany Pokrzywką, wystąpił.

— Dla nas tu miejsca bo na zamku niema — zawołał. — Wolimy my sami opuścić go, niż czekać, aby nas wyženiono... Panom Węgrom ciasno, muszą się szeroko rozłożyć... Wyrwali drzwi Lasocie i rozgościli się u niego nieproszeni, jutro mnie to uczynią. U ks. Jana z Czarnkowa, gdyby nie żelazne drzwi, toż samoby było, bo się dobijali... Wczas trzeba, co kto ma, zabierać, bo i kaptura jutro ztąd nie wyniesiemy.

Inni pokrzykując, potakiwali Pelce, tak, że Krzesław nie wiedział już, co im rzec.

— Pamiętajcie ino — odezwał się — że sobie tem łaski króla nie zaskarbicie, a przecie jej potrzebujecie.

Lasota dopiero zawołał w gniewie.

— Jako żywo!

Zmieszał się Krzesław.

Skarżyć było potrzeba, gdy się krzywda stała.

— Aby nas łajano! — zawarczał Lasota.

I tak Krzesław to groźbami, to prośbami na próżno usiłując tumult powstrzymać, nie wskóral nic. Wszysey, co z Lasotą trzymali, konie swe obładawwszy, natychmiast z zamku na miasto ruszyli.

Niektórzy bojaźliwsi odłożyli to, ociągając się.

Dano znać królowi, który ramionami poruszył, uśmiechnął się i zdawał mało dbać o to.

A że i stara królowa plotki wszelkie lubiła, o wszystkim chcąc być zaraz uwiadomioną, Zawisza nadbiegłszy za bratem, z doniesieniem pośpieszył do niej.

Trochę więcej wzięła to z początku do serca, ale nie poradziła nic, a po godzinie zapomniała, co zaszło.

Królewski dwór tegoż dnia już czynił przygotowania do podróży, bo Ludwikowi pilno było wiece zbyć się wycieczki do Gniezna i Wielkopolski, dokąd go ks. arcybiskup Bogorya ciągnął.

Węgry więc nie mieli czasu dokazywać i dzień ten upłynął jakoś spokojnie.

Wieczorem, jak zwykle, stara królowa zabawiła się.

Słychać było muzykę, widać płasających, a śmiechy aż na podwórce dolatywały. Król u matki nie bawił długo, drudzy, szczególnie ci, co się przyszłej pani w łaski zapisać chcieli, dosiadali, póki śpiewać kazala i słuchała pochlebców.

Ze starego dworu nieboszczyka mało kto tam był, lecz nowych ludzi, dawniej mniej znanych, zbiegło się dosyć, i na Polakach nie zbywało.

Tu już można było zgadnąć, kto w przyszłości pójdzie w górę, a kto w niełaskę popadnie. Tych, co się garnęli do starej pani, przyjmowała bardzo wdzięcznie. Wesolością i pochlebstwem, a piękną powierzchownością ująć ją było łatwo. Młodzież też po większej części ją otaczała.

Gdy się to działo na zamku, Lasota precz odjechawszy, gospodę sobie najął u znajomego na Grodzkiej ulicy, przeodział się i szedł do Dersława, bo teraz już nie miał co innego do czynienia, tylko swoich się trzymać.

Zastał go nad misą, zajadającego, co mu doma uwarzono.

Zobaczywszy Lasotę, Dersław, który już o rannej przygodzie wiedział, bo się to po mieście rozniosło, przywitał go.

— A co? Węgry górą...

— Do czasu — rzekł Lasota — jam z zamku się wyniósł.

— No, i ze mną do Poznania?

— Jak każecie, ojcze.

— Masz rozum — odparł Dersław. — Dobądź łyżkę z za pasa, bo już ci bez niej nie chodzisz, kromkę chleba sobie odkrój i jedz, co Bóg dał. Stanie dla dwóch, bo na czterech gotowano.

Lasota, nie dając się prosić, przysiadł się do misy jak należało.

— Król bodaj jutro do Gniezna z arcybiskupem jedzie — rzekł — wozy już gotują.

— O! o! — zawołał Dersław przestając jeść — a nie wiecie, czy i korony z sobą wiozą? Ludziomby wielu głowę zamknął, gdyby się dał w Gnieźnie ukoronować.

— Chyba to nie może być — odezwał się Lasota. — Słyszałem po dworze, iż królowi ta dwoista koronacya śmieszną się widzi. Ale do grobu św. Wojciecha pokłonić się pojedzie.

— Hm — rzekł Dersław — nam też potrzeba być, żebyśmy widzieli, jak się to odbędzie. Co mamy za królem gonić, lepiej go wyprzedzić. Ja już tu robić co nie mam. Pan Przedysław z Gólułchowa też dziś rusza przodem. Gotówes z końmi?

— Jam zawsze gotów — rzekł Lasota — nie mnie tu nie trzyma.

— Ba! rozśmiał się stary, który żartować czasem lubił — nie masz to żadnej mieszeczki, z którąbyś na cztery oczy się chciał pożegnać?

Ruszył ramionami Lasota.

— Już mi to nie w głowie! — odparł.

— A kędyż poszło? — zagadnął stary, i nie czekając odpowiedzi, otarł usta, przeżegnał się, a na chłopca począł wołać:

— Sakwy wiązać, w drogę! słyszysz, niezdaro... za godzinę na gościńcu być musimy.

Zwrócił się do Lasoty, pasa popuszczonego ściagając.

— I was za godzinę czekam — rzekł czapkę biorąc — a teraz trzeba po swoich pójść i dać haśło: Wielkopolany w drogę!...

Tegoż dnia z przymrozkiem, który od południa zaczął brać, przy wypogodzonym niebie, co było Wielkopolan, którzy się kupy trzymali, ruszać zaczęło z Krakowa.

Wojewoda kaliski wyprzedzał ich i króla, Szły wozy arcybiskupa i ks. Suchywilka; jechali też gromadnie i Nałęczowie.

Spieszyło się Dersławowi i bardzo, ale nie zawsze człowiekowi idzie po myśli; tak i jemu w tym razie. Zmęczył się niemało w Krakowie, a może co niezdrowego zjadł po drodze w gospodzie, dosyć, że drugiego dnia dla wielkich boleści, dalej nie mogąc ciągnąć, w lichej karczmie na gościńcu obległ. Lasota też przy nim pozostał, bo inni, którym pilniej było, pędzili do Gniezna i Poznania.

I stało się tak, że Dersław, który miał króla wyprzedzić, teraz ledwie się go spodziewał napędzić. Nie tyle mu szło o chorobę i cierpienie, bo choć się kulił z bólu, lekcewazył go sobie, nie nowiną mu to było, ale na to utyskiwał, iż wszystkiego świadkiem nie będzie i z drugimi w kole nie stanie.

Na gwałt zaś ruszyć nie było sposobu, bo na koniu usiedzieć nie mógł.

Gospoda, w której obległ, oddalona od wioski, samotna, tak przypadła, iż w niej orszakowi królewskiemu spoczynek był naznaczony, o czem nie wiedział Dersław ani Lasota.

Rozłożyli się w niej jak u siebie, gdy Węrowie królewscy, co poprzedzali pana, nadbiegli.

Jednemu z nich koń w drodze nogę zwiknął. Napatrzywszy w stajni deresza, co pod Dersławem chodził, nie pytając nawet, czyj był, Węgie go zaraz pochwycił.

Ludzie Lasoty i Dersławowi rzucili się odbierać. Węgry do mieczów, a była ich siła większa, tak, że kilku z czeladzi porabiali, i nim Lasota wybiegł, nietylko konia z siedzeniem, lecz opon nachwytawszy, beczułkę z winem i srebrny kubek, na gościniec uskoczyli.

Ani dogadać się z nimi nie było sposobu, ani ich przemódz, bo we dwójnasób tyle mieli rąk, co Nałęczowie.

Stanowniczey Polak, napiły i bezprzytomny,

choć się do niego Lasota czepiał, nie nie umiał poradzić, kłął tylko.

— Co ty z tymi madziarami myślisz się zadzierać!—wołał do Lasoty,—dziękuj Bogu, gdy ci głowy z karku nie zdejmą. O konia się będziesz upominał? Patrz, żebyś go krwią jeszcze nie dopłacił.

Węgry ze śmiechem i urąganiem pojechali i na tem się skończyło.

Dopieroż chorego Dersława widzieć trzeba było, gdy mu dano znać, że jego ulubiony deresz, który miał nogi osobliwe, a mimo to niósł jak w kołysce, przepadł. Pięści obie ścisnął, zęby zaciął, klnął, i, wnet pomiarkowawszy się, rzekł.

— Ziemianinowi konia wziąć, co znaczy, ten tylko wie, kto miał wierzchowego, a kochał go, jak dziecko swe.

Tę tylko miał Dersław korzystać ze straty, że co chorym był, z gniewu i poruszenia, zamiast mocniej zapaść, odrazu pozdrowiał. Konia od pacholka wzięwszy, natychmiast ruszył dalej.

Ciągnęli tedy za królem już, który pośpieszenie do Gniezna dążył, a po drodze napatrzeć się mogli i nasłuchać, co Węgry dokazywały w pochodzie. Kędy przeszli, nie pozostał po nich ani stóg siana cały, ani chata i domostwo, w któremby na ich gospodarstwo, gwałty i zabory nie narzekano.

Rosła stąd wielce niechęć do króla, już i tak nielubionego, a że przy nim stanowniczowie i urzędnicy Małopolańscy byli, którzy na zbytki patrzyli, nie nie radząc, ani zapobiegając, i na nich burzyli się ludzie.

I, coby ta podróż Ludwikowa miała mu serce pozyskać, więcej ich jeszcze podrażniła.

Gdyby tylko kmieci uciskali, którzy dawne czasy na prawie polskiem, podwody, przewód i pogonie pamiętali, nie tyleby to raziło, lecz dostawało się i ziemiańskim dworom, i rycerstwu, i duchownym, bo madziary nikogo nie poszanowali.

Więc lamenty rozwodzono srogie, a Dersław słuchając ich, to się gniewał, to radował, bo myślał, iż stronę króla mało kto tu teraz trzymać będzie.

Nie jadąc w ślad za Ludwikiem do Gniezna, Nałęczowie w Poznaniu się zatrzymali, gdzie jedni przygotowania czynili do przyjęcia króla, a drudzy się z nich na ową mniemaną do Gniezna koronację wybierali, bo byli i tacy, co w nią wierzyli.

Wiedziano, iż z rozkazu arcybiskupa tron w gnieźnieńskim kościele, złotogłowem i purpurą okryty, był przygotowany. Wieść chodziła, że koronę Chrobrego Ludwik z sobą przywiezie do Krakowa.

Tymczasem zawiodły nadzieje. Na nalegania arcybiskupa, który żądał, aby król w ornacie koronacyjnym uroczystym zasiadł na tronie, Ludwik z uśmiechem odpowiedział, iż tego nie uczyni, boby koronację swą pierwszą w wątpliwość podał.

W zwyczajnem ubraniu znajdował się Ludwik na nabożeństwie w katedrze u grobu św. Wojciecha, złożył przy nim skromną ofiarę, i krótko zabawiwszy u Bogoryi, natychmiast do Poznania wyruszył.

Wielkopolscy ziemianie, już zrażeni tem, że ich żądanie lekceważono w stolicy ziemi swej, nie zbyt licznie, ani tak ochoczo przyjęli króla, jak się spodziewał.

Wszędzie też bawił, jak mógł najkrócej, widocznie się spiesząc, mało komu łaskawsze okazując oblicze, zbywając się ludzi z niechęcią i obojętnością.

Zostawiły więc po sobie odwiedziny królewskie zaród wzajemnej urazy i można było przewidzieć, że między panującym a Wielkopolską rozbrat coraz większy nastąpić musi.

Przedysław z Gołuchowa, który lepszego się spodziewał, ośmielił się królowi powiedzieć, co my-

śleli wszyscy i chciał go skłonić, aby łaskawszym okazał się dla Wielkopolski — lecz Ludwik ramionami poruszył i prawie go nie słuchał.

Węgrowie zaś otaczający, którym wszystkiego zawsze za mało było, na Przedysława i Wielkopolan krzyczeli jeszcze i na kraj wydziwiali.

Dersław tego wszystkiego wysłuchawszy, i na patrzywszy się, po kilku dniach Lasotę z sobą zabrał i do domu do Wielkiej Wsi wyruszył.

V.

W Wielkiej Wsi Dersławowej, lasami dokoła otoczonej, a ponad jeziorem rybnym osiadłej, pókój panował szczęśliwy, który ona winna była temu, że ją samo położenie broniło. Szlaki uczęszczane zdala szły od niej, otaczające mokre puszcze, dostęp trudnym czyniły i nawet czasu rozruchów i najazdów, które się w Wielkopolsce zagnieżdżyły, Wielka Wieś bezpieczna była. Nie lada też kupą ważyć się na nią mógł napastnik, bo sioło było ludne, ludność zaś mężna i takiego ducha, że jej ku obronie wołać nie było potrzeba. Dwa czy trzy przysiółki, Wólka Złota, Wólka Nadbrzeżna i Kolesznicy, tak dokoła były rozłożone, że uchowaj Boże najazdu, stały na straży, minąć ich nie mógł nikt, a znani ludzie ścieżynami zaraz mogli dać znać i na gwałt uderzyć.

W ostatecznym razie stare grodzisko obszerne, wałem obsypane, mogło się bronić i zawrzeć w sobie nie mało ludzi.

Na grodzisku stał i kościółek pod jego obroną i szop siła było, do których się schronić z dobytkiem mogli wieśniacy.

Dersław mieszkał w domu starym, poprawionym i przybudowanym, który bardzo dziwnie wyglądał, jak czasem grzyby na drzewie, gdy w ku-

pę urosną ściśnięte. Dachów, daszków, sieni, przejść, podsieni różnych, ścian nierównych wyższych i niższych, okien małych i wielkich, sterczących dymników, nie naliczyć tam było. Do niektórych mieszkań dostawało się po drabinach, do innych trudno było zgadnąć którądy ludzie weszli.

Z jednej strony przyparta była stara i już rozeschła, a świecąca szparami wieża drewniana, która pono jeszcze za jakiejś wojny i niebezpieczeństwa wzniesiona została, a teraz w niej baby mokre chusty wieszały, gdy słońce było na dworze.

Na takich wygodach, jakich owe czasy wymagały, nie zbywało tu. Był i ład w domu, lecz dla oka nikt starej kleci przybierać nie myślał.

Poczerniała od deszczów, okopcona od dymów, gdzieniegdzie w ziemię zapadająca, ze ścianami skoszonymi i popodpieranymi, jużby może nowemu pokątniejszemu domostwu miejsca musiała ustąpić, gdyby Dersław, który ją taką po ojcu wziął, a bardzo był do niej przywiązany, nie obronił i nie ukował.

Syn jego Wierusz, gwałtem chciał nowy dwór stawić, Dersław się uparł i na tem stanął, że póki on żyw, dom stać będzie, ani go da palcem tknąć. Wierusz, który gospodarował ojcu i zastępował go, musiał się do tej woli zastosować.

Jak ten dom, tak i mienie Dersławowe nie narzucało się oczom. Wszędzie był dostatek, który nikogo zazdrosnym nie mógł uczynić. Po komorach i zakomórkach pełno było wszystkiego, ale o tem mało kto wiedział.

Dersławowa żona, Jagna, która też z Nałęczów domu była, niewiasta spokojna, jako cień chodziła za mężem, który do niej przywiązany był, i powolny, ale swą powagę czasem czuć dawał, trzymając, iż niewiastom rządzić i dawać się prowadzić nie należało.

Oprócz syna Wierusza, Dersławowie mieli

córkę zwaną Piotruszą; dziewczę, które się w matkę wdało, ciche było, łagodne, a skromne.

Może dla tego, że ani ona się ze swą pięknością pochlubić nie umiała, ani ojciec z dostatkim, Piotrusza już dwadzieścia lat liczyła, a nikt się o nią nie starał i w domu siedziała.

Wiedziała o niej młodzież, ale młodym blask i rozgłos milsze nad wszystko; a Piotrusza nie słyszała niczem, tylko tem, że matce była prawą ręką, a ojcu dzieckiem najmilszem.

Dersławowi i Jagnie pozbyć się córki z domu cale nie było pilno. Wierusz też, że żonaty nie był, siostrę w domu rad widział.

Gdy stary Nałęcz do Wielkiej Wsi z sobą Lasotę zabierał, może mu na myśl to przyszło, że córce męża prowadzi, może niekoniecznie rad był ją zaswatać namiętnemu i na dworactwie nawykłemu do lepszego życia powinowatemu, lecz potrzebował go, nie miał gdzie osadzić, i mimo obawy, wiozł z sobą.

Po drodze tylko w rozmowie przebąknął stary, że dla córki ma już upatrzonego człeka, aby Lasota bardzo się do niej nie zbliżał. A chociaż tak nie było, z kłamstwa się rozgrzeszył dla bezpieczeństwa dziecka swego. Słyszał bo dwór Kaźmirzów, jak pan jego, ze swawolnego obyczaju. Lecz Lasota młodzieńcze szaleństwa zostawił już był za sobą i o niewiastach myślał mało, teraz zaś myślał o sobie, bo nie wiedział jeszcze, co pocznie.

Do Wielkiej Wsi przybywszy, stary się zaraz zajął pomieszczeniem Lasoty. Dano mu izbę osobną, która od tyłów wnijście miała, sień własną i komory, stajnie dla koni, pomieszkание dla służby, a Wierusz, który podobny był do ojca, przyjął go jak brata.

Rad był temu towarzyszkowi, który mógł mu o dworze i o krajach, jakie z Kaźmirzem zwiedzał, albo do których przez niego posyłanym bywał z innymi, opowiadać.

Nawykły do życia na Wawelu, gdzie zawsze bywało gwarno i tłumno, skąd trzy kroki tylko było do ożywionego miasta, Lasota Wielką Wieś znajdował pustą i głuchą, lecz miło mu tu było wypocząć i młode lata na wsi spędzone sobie przypomnąć.

Dersław zaś ciągle mu powtarzał, że go tu nie uwięzi na wieki, i że będzie miał co do czynienia.

Oprócz starego gospodarza, jego syna, żony i córki, a proboszcza, który na grodzisku mieszkał i gościem był codziennym, mało tu kogo widywano. Przecież różne wiadomości ze świata, od Poznania i Gniezna nadlatywały. Zawadzali ziemianie o Wielką Wieś, bywali księża u proboszcza, kmiecie z wsi i lasów sąsiednich także czasem plotkę przynieśli.

Postrzegł wrędcę Lasota, jakie usposobienie było w kraju, bo wszystko, cokolwiek tu przyszło, co powtarzano, świadczyło o niechęci do Małopolan i króla. Takie tylko wieści powtarzano chętnie, które Wielkopolanom dogadzały...

Dowiedzieli się tu wrędcę, że Przemysław z Gołuchowa, który miał wielkorządy, już został podkopany i na jego miejsce Krakowianina obiecywano, co ogromnie umysły wzburzało.

— Niech spróbują nam tu nasłać obcego — mówił Dersław, — a zobaczą, czy długo u nas wytrzyma! Wykurzimy go... choćby najlepszym był, bo w swej ziemi cudzym ludziom rządzić nie damy. Wielkopolan dosyć jest, i z nich człeka wybrać powinni...

Innego dnia przyszła wiadomość, iż król Ludwik, korony zabrawszy z sobą, do Budy odjechał, a starą matkę swą na Krakowie zostawił. Zaś jak ta rządziła, nie mówiono. Śmiano się i ramionami poruszano. Domyślał się każdy łatwo, że nie jej rządy, ale gładkich ulubieńców nastąpić muszą.

Kilka razy stary po język się wymykał to do Poznania, to do Gniezna, to do sąsiadów, którzy nad gościńcami siedzieli. Jednego też zimowego wieczora gość się zjawił.

Był to duchowny lat średnich mężczyzna, w którym potomka rodu rycerskiego na pierwsze wejście widać było, bo ramiona i piersi do zbroi miał raczej niż pod rewerendę stworzone. Powinowały panu Dersławowi, bo do Nałęczów rodu należał, Jan z Czarnkowa dosyć już wysokie zajmował stanowisko, bo podkanclerski urząd piastował. Sławny był też z nauki, z prawości i z nieskazitelności życia, ale krwi gorącej, porywczy, języka niepohamowanego, więcej miał nieprzyjaciół niż druhów.

Gdy go z sań wysiadającego Dersław zobaczył, zdziwił się wielce, bo wiedział, że na próżne wędrowni czasu nie miał, nie rad się z Krakowa oddalał, a dla urzędu nie mógł.

— Ojciec mój! a was tu co do nas przyniosło?—schylając się do ręki jego, rzekł Dersław.—Gościem mi jesteście najmiłszym, lecz Bóg świadek, niespodzianym.

Głosem grubym i mową gwałtowną odparł Janek z Czarnkowa.

— Ja sam, bracie mój, też się nie spodziewałem was nawiedzić... Cóż chcesz? takie czasy nastały, że ci, przed którymi uciekano niegdy, dziś uciekać muszą. Proszę was o schronienie na czas jakiś, bo mnie bodaj więzić chcą! Ale...

Dersław osłupiał.

— Żarty prawicie!

Weszli do izby.

— Ba, nie żarty—zawołał przybyły podkanclerzy—umiano tak chodzić około starej, takimi okładając potwarzami, że gdyby mnie suknia duchowna nie obroniła...

Zeszli się tymczasem wszyscy: Wierusz, Lasota, przyszła się pokłonić duchownemu Dersła-

wowa Jagna, skupili się około gościa, którego przyjmowano serdecznie.

Ten, rozjątrzony i poruszony, ledwie gniew w sobie mógł utrzymać.

Poczęły się tedy opowiadania, pytania i okrzyki podziwienia.

Janko z Czarnkowa na przemiany lament podnosił wielki i boską pomstą groził.

— Na zgubę prowadzą królestwo, na upadek i rozerwanie. Niedoleżnej babie dał król rządy, obsiedli ją pochlebcy, opanowali źli ludzie, więc dla starych sług miejsca niema i nie tylko precz iść potrzeba, lecz życie chronić...

— Lecz coż oni do was mieć mogli? co zarzucić?—pochwycił Dersław.

— Zamyślił co chcieli, by się pozbyć—wołał przybyły—nie o mnie idzie, ale o podkanclerstwo, by mi je wydrzeć, a dać je Zawiszy. Cóż ich kosztuje skłamać i potwarz cisnąć? Zadali mi, że po śmierci króla jakieś grzywny sobie przywłaszczył, gadają, że czarownicami się posługuję, że od żyda Lewka pierścień czarodziejski podarowany noszę... Czy ja wiem zresztą, co mi zarzucają—rozśmiał się gorzko podkanclerzy. Musiałem im z oczu zniżyć, więc póki nie spoczne nie-co, u was pobędę, a potem do arcybiskupa ruszę.

Dersław ledwie uszom wierzyć chciał.

— To co ze mną—dodał podkanclerzy—dzieje się z drugimi, Przedysław ustąpić musiał.

— Komu?—pochwycił Dersław.

— Jednemu z tych, których twarz i obyczaj królowej się podobały—śmiejąc się mówił Janko.—No, niema co się dziwić. Otto z Pilcy człowiek rycerski, nie mu zarzucić nie można, oprócz, że dworuje, gdzie nie powinien.

— Otto z Pilcy! Małopolanin!—zakrzyknął Dersław—na wielkorządach w Poznaniu. Znam go, wszędzieby dobry był, ale u nas nie usiedzi... nie damy się.

Raz poczawszy gość nieprzebraną wysypał mnogość jednych nad drugie osobliwych nowin o przemianach, które stara królowa poczyniła. Dawnych urzędników oddalano, stanowiono nowych, Różyce, ojciec i syn, z niemi ksiądz Mikołaj z Kórniką i siła innych do królowej przystępu nie dając, swoich przyjaciół wszędzie podstawiali.

Janko z Czarnkowa malował starą, zdzieciniałą królowę z większem politowaniem, niż niechęcią, winę składając na tych, co ją okłamywali.

— Litwa napadła — mówił — to wiecie, myślicie, że wojsko przeciwko niej posłano? Dano pułstoszyć aż po Łysą Górę, a doradcy starej pani nauczyli ją, ażeby posłów wyprawiła do Kunigaszów litewskich i zagroziła im potęgą swojego syna! Litwini się z nich naśmieli, poszło tysiące ludzi w niewolę, tysiące domów w perzynę, a królowa cytarzysty słucha, śpiewem się lubuje, płasom przypatruje i słodkich słów słucha. Nie takiego nam króla było potrzeba! — westchnął Jan z Czarnkowa. — Na pokaranie nasze dał nam tę piękną lalkę Pan Bóg, a serce się ścisła na to, że dla nas on lalką jest, dla nas on niczem być nie chce, gdy u siebie, na Węgrzech, sławi się jako pan mądry, dobry i silny, więc nawet skardze naszej i boleści nikt wierzyć nie zechce...

— A my nie wierzymy — wtrącił Derśław, — ażeby on gdziekolwiek mądrym być mógł i dobrym. Niechaj sobie zresztą Francuz ten Węgrom i Dalmatom i Włochom szczęśliwie panuje, a Piastowską dzielnicę Piastom odda.

Słuchając, ks. Jan podkanclerzy szeroką swą piersią westchnął i głową trząść począł.

— Kędyż się Piasty podziały! — począł, jakby sam do siebie. — Gdyby nawet możność była nowego pana wybierać i szukać, gdzie my go znajdziemy? Rozprysła się ta krew na drobne kropelki, na słabe poniki, a dziś nam po wielkim panu, co tyle lat nami rządził szczęśliwie, lada kar-

łem się obejść, lada słabemu w ręce dać władzy nie można. Zły Ludwik, bo lekceważy nas, zła Elżbieta, bo starej babie zabawki w głowie i za słabą ma rękę, aby w niej wodze utrzymała, alieści te najgorsze rządy tem dobre, że się Polsce na kawały rozlecieć nie dadzą.

Derśław aż syknął, tak go ta obrona Ludwika zabolala.

— Ojcie mój — zawołał — wy byście mieli, na sobie ich niesprawiedliwości doświadczywszy, bronić?

— Bronię nie ich, ale całości naszej korony — rzekł Janko z Czarnkowa. — Dajcie mi potężnego Piasta... ale takiego nie macie... na świecie go niema.

Derśław, choć nie rad się był zdradzać z tem, co sam i jego przyjaciele myśleli, przed poważnym duchownym, którego rozum cenil, taić się nie mógł.

— My inaczej myślimy — rzekł, — przebaczcie ojcie mój; Małopoleanie nas lekceważą, chcą nam prawa narzucać. Zaczęło się to od Kaźmirza, tego my nie ścierpimy. Może stać samo przez się Mazowsze, dla czegożbyśmy też sobie pana nie poszukali? Piasta znajdziemy.

— Pokażcież mi go — odpowiedział uśmiechając się podkanclerzy. — Zdaje mi się, że na dworze wciąż przebywając, gdzie za nieboszczyka przewijali się i siedzieli wszyscy Piastowicze..., znam ich najlepiej. Na małych udziałach zrośli i wielkiej sprawie nie podolają.

Derśław się poruszył mocno.

— Ojcie miłościwy — zawołał — czytaliście już cię błogosławionego Kadłubka historię, bo nas wszystkich na niej w szkołach uczono. Przecież gdy do korony pierwszego Piasta wzięli ludzie, małym był i rolą a pasieką jeno się parał, jednak z pomocą Bożą wielkie państwo przez niego urosło.

Janko z Czarnkowa uśmiechnął się.

— Stary mój — rzekł — widzę, że z waści nie lada dyalektyk, a no, posłuchaj mnie. Czasy były inne, świat prosty ludzi takichże wymagał, dziś nie to, co po Popielach wziąć dziedzictwo.

Dersław mrucał nieprzekonany.

— Cóżbyście mieli przeciwko Mazowieckiemu Ziemowitowi?

— Ino to — rzekł Janko, — iż gdybyście wy go chcieli, on was nie zechce. Odzyskał świeżo Płock, zbył się lenności, zostawiono go w pokoju, na Ludwika się nie porwie, dość ma doma roboty.

Nie nalegał gospodarz.

Każka Szczecińskiego sam nieboszezyk król wychował — rzekł — pan jest możny i serca wielkiego.

— Ten też się nie porwie przeciw Ludwikowi — odparł Janko — ze Ślązaków rozrodzonych żaden; Władysław Opolski jak i drudzy, zwłaszcza, że mu albo Ruś, lub inna dzielnica bez trudu się dostanie...

Dersław już miał się wydać z tem, o kim myślano w niedostatku innych, i wymienić Władysława Białego, lecz pomiarkował się, głowę spuścił i zamilkł.

Janko z Czarnkowa siedział smutny. Cały tak wieczór o różnych sprawach i ludziach mówiono i smutek się tylko ze słów sacył; nadziei polepszenia rychłego żaden z nich nie miał.

Wiedzieli wszyscy naokół, że Dersław nie chcąc niezem przodować, nie przyznając się do kierownictwa żadnego, potajemnie najwięcej się około wielkopolskich spraw krzątał. Nie było więc dziwnem, gdy we dwa dni po podkanclerzym, w kilka koni tylko, około południa zjawił się wojewoda kaliski, Przedysław z Gołuchowa, którego miano właśnie z wielkorządów wyrzucić dla Otto na z Piley.

Możny pan, mąż w sile wieku, znaczenia nie-malego między swoimi, wojewoda kaliski, choć

u dworu rad był łaski nie tracić, przecież wołał trzymać ze swymi i w ogólnych sprawach od nich się nie odłączał.

Temu zapewne winien był, że śmiało się o prawa Wielkopolski upomniawszy, aby ich nie zacierano i ziemi tej nie lekceważono, począł być źle widzianym u króla i u starej królowej. A że Kaźmirzowe sługi wszystkie podejrzewano i zamieniano, jego też ten los co innych miał spotkać.

Zsiadł z konia pan wojewoda i ze śniegu się otrząsał, mając się z wychodzącym gospodarzem powitać, gdy poza nim spostrzegł Janka z Czarnkowa.

Zdumiał się nieco.

— Wiecie albo nie — odezwał się, nogę ze strzemienia dobywając — co mnie spotkało?

Dersław głową potrząsł potakująco.

— Więc i tego się dorozumiecie, po com do was przybył. Szukam dobrej rady.

Wprowadzono go uroczyście do izby. Dersław okazywał mu uszanowanie wielkie, może zbytnie nawet, lecz miał zwyczaj ten, że się lubił małym czynić, czując, iż nim nie był. Więc najlepsze siedzenie naprzeciw ognia dano panu wojewodzie, który jakby wcale nie czuł tego, iż go z wielkorządów zrzuceno i odebrano mu dostojęństwo i władzę, uśmiechał się wesoło.

— No, cóż wy na to? — odezwał się — będziemy mieli Małopolanina w Poznaniu! Brak tego, aby mnie do Krakowa posłali z łaski swej, ale jabym tam nie pojechał. Otto z Piley godny człek, pan wielki rycerskiego ducha; szkoda go zaprawdę, bo...

— Bo my go znać nie chcemy! — przerwał Dersław. — Jeżeli jakie prawo jest, przy którym stać musimy, to te, ażeby nas obcymi ludźmi nie obsyłano. W Wielkopolsce tylko my do urzędów i rządów mamy prawo.

Przedysław ręce zmarzłe zagrzewał... Podano

kubki na powitanie, Derśław nalewał i nalewając szepnął.

— Trzeba nam się nie we dwu, ale w kupie naradzić, bo jest nad czem.

— Spojrzeli sobie w oczy i wojewoda zmiarkował, że Janko z Czarnkowa musiał z gospodarzem nie jednej być myśli.

Porozumienie to milczące nie uszło oka podkanclerzego, który się domyślał, iż Wielkopoleanie knuli może coś takiego, do czego by mieszać się nie chciał. Wkrótce też pod pozorem, iż proboszczą nawiedzić chce, wyszedł z izby.

Sam na sam zostali z sobą wojewoda i stary Nałęcz.

— Ottona z Piley się zbyć, rzecz mała — rzekł Derśław otwarcie — mybyśmy radzi zbyć się i rządów starej baby i tego króla, który nas nie zna.

Przedysław nie dał po sobie poznać, by go to, co słyszał, zbytnio zadziwiło, milcząc, czekał objaśnienia.

— Panie wojewodo — odezwał się Derśław — zjechać nam się wypada kędyś i pomyśleć o sobie... Wielka Wieś niedogodna... dwór u mnie szczupły, a gdyby ludzie doń ciągnąć zaczęli, wpadłoby to w oczy. W Poznaniu stara królowa swoich ma, co nas podsłuchają i doniosą.

— Dokądże myślicie się gromadzić? — spytał wojewoda, nie sprzeciwiając się.

— Na nabożeństwo do Gniezna — rzekł Derśław — każdemu człeku jechać wolno, ani to kogo zadziwi, gdy się tam do starego arcybiskupa ziemian trochę ściągnie... Przybędziecie i wy?

— Kędy drudzy, tam i ja pewnie — odparł wojewoda. — Naznaczcie dzień, ludzi słusznych zbierzcie, przyjadę i ja do Gniezna, tak, jakom do was przybył... Albo Wielkopolska straci wszystkie starodawne prawa swe, lub dziś się o nie upomnieć musi...

To mówiąc, smutniej się jakoś zadumał.

— Lecz co tu o prawach naszych mówić — dodał — i jak szacować je ma Ludwik, gdy dla dzieci tego króla, któremu państwo to winien, nie ma miłosierdzia i sprawiedliwym być nie chce... Słyszeliście, że córki królowej Jadwidze odebrano, że je do Węgier zabierają, tak jak zabrano korony... i że jawnie głoszą, iż król z obawy, by o spadek po ojcu nie upominały się kiedy, chce je ogłosić jako z nieprawego małżeństwa narodzone i nieprawe.

Derśław porwał się z siedzenia.

— Testament króla połamano! — zawołał, — co za dziw, że na domiar z dziećmi się obejda okrutnie... Świętego u nich niema nic... Lecz król Ludwik też czuć powinien, że się na tronie tym słabo trzyma... Syna mu Bóg nie dał, a na córki jego dziedzictwo nie spada. Zejdzie więc korona znowu do Piastów... byleśmy zawczasu jej dzie-dzica opatrzyli.

Przedysław obejrzał się dokoła.

— Z siebie to mówisz? — zapytał.

— Z siebie, lecz wielu to samo powiada, jak i ja. O Piastach słyhać wszędzie... do nich nas stara powinność ciągnie...

— Milczcież do czasu — palce na ustach kładąc odezwał się wojewoda. — Gdy kto chce co skutecznie dokonać, nie powinien się zdradzać zawczasu, pilniejsza dziś rzecz tak Ottona z Piley przyjąć w Poznaniu, aby mu ochota odeszła nam się narzucać... Niech wraca dworować starej baby, razem z Zawiszą, Dobiesławem i innymi...

Nim wojewoda wyjechał z Wielkiej Wsi, już Lasota ruszał z niej, opatrzony przez Derśława nauką, do których dworów zjechać ma i komu szepnąć, aby się do Gniezna gromadzano na Gromniczną.

Jankowi z Czarnkowa nie przyznali się dwaj spiskujący, co zamierzali.

VI.

Chociaż zawsze najtrudniej u nas było ziemianom język za zębami utrzymać, zwłaszcza gdy serce w piersiach zagrało, choć zarówno Wielko jak Małopolanie grzeszyli tem zawsze, że tajemnicy, gdyby o gardło szło, nie umieli uchować, ów zjazd na Gromniczną w Gnieźnie rozszedł się jakoś, nie zdradziwszy, co na nim uradzono.

Być też mogło, iż gdzie zdań tyle różnych było, na nie nie umiano się zgodzić i dlatego milczano. Dostyć, że ziemianie, każdy w swą drogę ciągnąc, nie chwalili się z tem, co postanowili.

Choć nie razem, większa część tych, którzy w Gnieźnie obradowali, pociągnęła do Poznania. Tu się lada chwila obajmionego już Ottona z Pilecy spodziewano. Miasto zawczasu pełnem było, jakby się na przyjęcie jego przysposabiano.

Wielkiego domu Toporezyków dziecię, na dworach cudzoziemskich i w podróżach po krajach obcych wykształcony, rycerskiej postawy i ducha, uprzejmy, miłość ludzką zaskarbiać sobie chętny, był ten Otto z Pilecy jakby dla pojednania dobrze z sobą zwaśnionych Wielko i Małopolan, najlepiej na oko dobranym. Tylko że już tu, przy swem prawie stojąc, jako Krakowianina, narzuconego przez królowę, znać go nawet nie chciało. Wprawdzie za sobą zjednane duchowieństwo miał, które za zgodą przemawiało, lecz nikt go słuchać nie myślał.

Umyślił Otto z Pilecy pańskim orszakiem Poznańczykom okazać, co zaczął być. Wysilił się więc na poczet liczny i pięknie odziany, na konie cudne, na wozy i woźniki postrojone, na otoczenie świetne, i jak to już wówczas zwyczajem być począł, wjazd swój na wielkorządy z wielką zarządził wspaniałością.

Przed nim już na zamek, dla przyjęcia ziemian przybyły kuchnie, beczki i służba mnoga. Spodziewano się, iż przez ciekawość samą, zbiegowsko będzie wielkie.

Przed miastem na konia szkarłatnego, obwiezonego siadłszy, w orszaku pańskim, z uroczystością wielką zajechał Otto z Pilecy na Przemysławowski gród.

Po drodze gawiedzi milczącej stało siła, mieszczan, żydów i okolicznych kmieci powychodziły z domostw gromady, ziemianie tylko wcale się nie pokazali.

Na zamku były pustki. Nie witał nikt, nie przybył nikt. Dopiero nierychło biskup sam z kilku kanonikami znalazł się u nowego wielkorządecy.

To przyjęcie milczące, dziwne, więcej może dumnego Toporezyka obeszło, niż opór i jawna niechęć, gdyby mu je objawiono. Było coś pogardliwego w tem usunięciu się, które mówiło:

— Nie nasz jesteś, nie znamy cię.

Biskup starał się go pocieszyć, obiecując, iż się to wszystko, zwolna a łagodnie postępując, zmienić może.

Wielkorządecą na pustym grodzie, wezwawszy do siebie tych, co z urzędu musieli mu się stawić, i z tych słowa nie dobył. Przybywali milczący, słuchali zachmurzeni, odchodzili nie nie obiecując.

Z walezącymi jawnie sprawa lepsza; z takim biernym oporem wielkiej cierpliwości potrzeba, a na tej właśnie Toporezykowi, krwi żywej i umysłu pańskiego, zbywało.

Z pomniejszych ludzi nie jeden by może zwrócił się ku niemu, i w nadziei, że coś uzyska, posłusznym by mu był, lecz każdy się obawiał pójść przeciw swoim, wiedząc, że wielkorządecy łatwo się zmieniają, ze swoimi po wiek wieków żyć potrzeba.

Nie znano i znać nie chciano Ottona z Pilecy.

Nie miał on, jadąc, nadziei, aby go zbyt mile przyjęto, lecz ufał sobie, że uprzejmością i gościnnością powoli serca zjedna. Trafiwszy na ten pogardliwy niemal opór, nie wiedział spełna co czynić.

Ponieważ z biskupem dobrze był, jego pytał o radę. Ten westchnawszy do Boga, złożywшы ręce, nie więcej nie rzekł nad to, że czekać potrzeba i nie okazywać gniewu.

Tymczasem na zamku ciągle pustki były. Oprócz kilku swoich Krakowian, nie miał nikogo, a ci popróbowałwszy się do Wielkopolan zbliżyć, odprawieni ostro, zostali sami, jak on.

Po gospodach napróżno szukali znajomości; gdzie się który śmielszy wcisnął, przychodziło do waśni, kilku porąbano, reszta na zamku siedzieć musiała. Nawet ci, co powinowatych mieli w Wielkopolsce, nie znaleźli lepszego od nich przyjęcia.

Tymczasem, jak przed przybyciem Ottona z Piley, tak po jego przyjeździe, rozboje i napady, gwałty i najazdy trwały ciągle. Mało było ziemian, co z dworem trzymali, na palcach można było policzyć, ci zaś szczególnie na gwałtowności wystawieni byli.

Otto z Piley chciał moc swą i powagę okazać, zarządził pogonię, wyprawił oddziały; nie powiodło mu się zupełnie. Jego ludzie ani języka dostać, ni pomocy od nikogo doprosić się nie mogli, odprawiano ich jak nieprzyjaciół, znać nie chcąc. Nawet ci, którym w pomoc przychodzili, pozbyć się ich byli radzi.

Cierpiał tak czas jakiś Otto z Piley a coraz bardziej niepokojące wieści go dochodziły.

Duchowieństwo, na które rachował, bezsilne było, w końcu i ono swoim się narażać i z nimi dla wielkorządcy zrywać nie chciało.

Radził biskup z Przedysławem z Gołuchowa mówić i przez niego sobie innych zjednać.

Otto z Piley wiedząc, że powoływać go do

siebie byłoby próżnem, bo wojewoda pewnoby się nie stawiał, sam dowiedziawszy się, kiedy w Gołuchowie go znajdzie, z małym pocztem doń pojechał.

Nie byli obcy sobie, bo się już w życiu nieraz spotykali; lecz teraz zaszły stosunki nowe i poprzednik na wielkorządach ani się już w Poznaniu pokazał.

Jednego dnia wczesnej wiosny, niespodziewanie z gradem i ulewą a wichrem, w złą godzinę przybył Otto z Piley na zamek gołuchowski.

Nie wiedziano, kto był, gdy zajeżdżał, a że gościnność u nas zawsze cnotą była najpierwszą, ani spytano nawet, spuszczać brone.

Wyszedł pan Przedysław, pewnie się kogo innego domyślając, i zdumiał mocno, gdy Ottona zobaczył. Rad czy nie rad, do domu wpuścić i witać musiał.

Toporeczyk już tak był podrażniony tem, co go tu a nawet po drodze spotykało, iż nie usiadł, ani gościny nie przyjął, póki, co miał na sercu nie zrzucił.

— Panie wojewodo! — zawołał, stojąc w przedsienu — wiem, że mi nie jesteście radzi, żem wam gościem niemiłym, lecz... wybyście do mnie nie chcieli, ja do was musiałem.

Sklonił się Przedysław. Weszli do wielkiej izby dolnej, sklepionej. Gospodarz siedzenie pierwsze wskazał. Otto nie siadł.

— Przybyłem do was po radę — odezwał się — Królowa Elżbieta, na którą król nasz rządy tego królestwa zdał, z porady panów komesów swych i baronów zesłała mnie tu w miejsce wasze. Chciejcie wierzyć, żem się ja o to ani starał, ani dobijał... Wiedziałem, że mnie niewdzięczną przyjmiecie twarzą... Królowej posłuszny być musiałem. Radbym tylko to czynić, co wam miłem i dobrem być może. Dlaczego wszyscy, jakobyście słowo sobie dali, odsuwacie się odemnie?

Przedysław pomilczał chwilę.

— Naprzód muszę wam to rzec, co mi najwięcej na sercu leży — odezwał się — a to, że ja też wielkorządy sprawowałem, jako powinność, ale nie żebym się ich napierał i o nie ubiegał. Dziśbym ich nie wziął. Byćże to może, abyście nie wiedzieli sami, dlaczego was tak Wielkopolanie przyjmują? Ziemia ta, gniazdo Piastowskie, od której całe to państwo wzięło imię i królów, wydziedziczone ze wszystkiego, nawet z tego przywileju, że korony w Gnieźnie strzegło... zostało przy tem jednym, że je zawsze Wielkopolanin rządził... Nie mając udziałnych książąt, chciało i chce mieć nad sobą takiego, coby się tu zrodził i wychował.

— Albośmy to w całej tej koronie nie wszyscy bracia? — zapytał Otton. — Przecie Toporów naszych siła w Śląsku i tu u was. Jam tu obcy?

— Jeśliśmy bracia, to... stryjeczna — rozśmiał się Przedysław — daremna to rzecz inaczej dowodzić, kiedy nas po mowie i obyczaju każdy pozna, że nas nie jedna kwoka wysiedziała... Zresztą tu o prawo idzie, a nie o miłość. Gdyby wam Wielkopolanina posłali do Krakowa, tak samobyście się nań zżymali. Królowa ani król tego nie rozumieją, wy miłośnicy mój, powinniście byli zawczasu wiedzieć, co was czeka.

Otto z Piley potrząsł dumnie głową.

— Tem zawiniłem, że tego nie przewidział — rzekł, — stało się. Dziś dać się wam wygnać, mnie, z ramienia króla posłanemu, srom by było... Zawierzcie mi, że dobra pragnę i...

Ręką skinąwszy, nie dał mu mówić Przedysław.

— To nic nie pomoże — przerwał. — Obraliście złe stanowisko. Żał mi was, lecz rady na to niema.

— Cześć moja nie pozwala mi go opuścić.

— A nasza cześć nie dopuszcza, byśmy inaczej was przyjęli, tylko tak, jako widzicie.

— Znać mnie więc nie chcecie.

— Ottona z Piley szanuję — rzekł Przedysław, — ale wielkorządcy w Poznaniu Krakowianina... nie znam.

— Gdzież ono prawo, którego się trzymacie?

— Wieki je zapisały... a czy na karcie gdzie stoi czy nie, my go sobie odebrać nie damy.

A po chwili dodał wojewoda.

— Przyjdzie do tego, że gdy dziś wszystko pisać i pieczętować potrzeba, bo żadne słowo nie waży, postaramy się o to na przyszłym, da Bóg, zjeździe jakim, aby obyczaj w pisane prawo się obrocil.

Stali tak naprzeciwko siebie, a wojewoda ciągle gościowi siedzenie wskazywał, gdy on już ku oknu otwartemu patrzył, ażali grad i słońce nie przejdą, aby nie mieszkając, się oddalić.

Podano kubki powitalne, nie tknął swego Otton.

— Panie wojewodo — rzekł — mnie się widzi, że wola królewska jest po nad prawo. Starajcie się odmienić, lecz słuchać jej potrzeba.

— A mnie się widzi, że rycerstwo tych ziem prawa swe miało i nawet u swych własnych panów upominało się o nie, cóż dopiero u obcego?

— Ale tenci królem naszym jest! — odparł Otto.

— Węgierskim i Dalmackim więcej jeszcze — szepnął wojewoda.

Otto się zwolna przeszedł po izbie zadumany.

— Powinniście na to pomnieć — rzekł — że póki żył król Kaźmirz, o to się najlepiej starał, aby z rozerwanego państwa jedność stworzył, bo to siłę mu daje. Chcecie więc rozerwać, co połączył, godzicie na bezpieczeństwo i potęgę korony tej?...

— Nie oddzielamy się przecie, ani królowi posłuszeństwa nie wypowiadamy — odparł Przedysław — lecz chcemy, aby zarówno wielkopolskim był, jak krakowskim.

Poruszył ramionami Otto.

Na dworze szalał jeszcze wicher i grad z deszczem bił o ściany; lecz, nie zważając na to, dłużej już rozprawiać nie chcąc, Otto kołpak swój, który był na stole położył, wziął w rękę, skłonił się i zmierzał do wyjścia.

Bez gniewu — odezwał się Przedysław — chciełście porady odemnie, musiałem wam ją dać. Czyńcie, co słusznem widzicie...

— Na stanowisku wytrwać muszę — odparł dumnie Toporczyk. — Wy też rozmyślcie się powinniście, czy walkę wam z królem i królową rozpoczynać się godzi.

— Wyzwano nas — krótko odezwał się Przedysław.

W obu widać było, że nie czuli się nieprzyjaciółmi, i że raczej pociąg ku sobie mieli, niż niechęć, lecz żaden z nich ustąpić nie mógł.

Grad ciągle na dachach i po ścianach warczał i szumiał.

— Nie czyńcie mi tej krzywdy, abyście dom mój w taką porę opuszczać mieli — ozwał się wojewoda. — Z wielkorządcą rozmowa skończona, a Otto Toporczyk gościem dla mnie miłym.

Dał się przybyły skłonić i rzuciwszy czapkę, usiadł.

Spojrzeni na siebie.

— Wielkopolska więc — rzekł — na króla i królowę zagniewana?

— Inaczej być nie mogło — począł gospodarz. — Król Ludwik wprawdzie odwiedził nas, tak samo jak Łęczycę i Sieradz, ale w Gnieźnie nawet na przygotowanym dla siebie tronie usiąść nie chciał...

Otto zamilczał.

— Niesłuszne uprzedzenie wasze — odezwał się po chwili. — Król Ludwik pan jest mądry i dobry, płynie w nim kropla krwi Piastów; królowa stara Kaźmirzowa siostra, Łoktkowa córka, pani wielce łaskawa.

— Miły mój — rozśmiał się Przedysław — policiecie jej lata, czy w tym wieku takim, jak nasze królestwo, rządzić jej przystało? Dobra jest... ale i sama dobroć ta dla nas się w złość obróci, bo źli ludzie z niej korzystają będą już korzystają. Prawdy do niej nie dopuszczają, kraj się zawichrzy.

Nie dokończył. Smutnie na stół patrzył Otto z Piley.

— Gorzko prawicie — szepnął.

— Bo nam goryczą serce zapływa — odparł Przedysław.

Tymczasem rozjaśniło się nieco, chmura niesiona szybkim wiatrem, w stronę odeszła.

Otto z Piley powstał, rękę podając gospodarzowi.

— Zaprawdę, nie wiem, co pocznę — rzekł — ale z wami rozstać się nie chcę jako obcy. Prawdę usłyszeć zawsze dobrze.

Szli tedy razem ku sieni, gdzie służba wojewodziska czekała, i Otto z Piley, nie zatrzymując się dłużej, konia sobie podać kazali.

O tej bytności jego u siebie nie rozpowiadał wojewoda. Żał mu było człeka, który tem zawił, że się lekko porwał na sprawę, której nie rozważał.

Pozostał jeszcze Otto z Piley na wielkorządztwie swem miesiący kilka, lecz silił się na próżno przyciągnąć ludzi ku sobie. Oprócz biskupa i kilku duchownych nikt doń nie zajrzał.

Tymczasem nieład coraz większy szerzył się po kraju, o którym on na próżno zawsze się dowiadując, zapobiedz mu nie mógł. Każdy sobie sam sprawiedliwość domierzał, nie uciekając się do niego.

Siłą zmóćdz nie mógł ludzi, bo nie miał innej nad tę, jaką mu rycerstwo wielkopolskie dawało, a to szło niechętnie lub wcale nie przybywało, i rozkazy jego spełniało tak, aby skutku nie miały.

Ruszył w końcu Otto z Piley do Krakowa, do królowej, zniechęcony wielce.

Gdy się to działo, Nałęcz a z nimi znaczniejsza część ojcóww tutejszych, już coraz pilniej nad tem radzili, aby sobie Piasta wybrać i postawić go przeciw Ludwikowi.

Dersław, który na Mazurach pokrewnych miał i znajomych wielu, nimby z drugimi na Białego księżęcia, za którym wielu było, głosował, umyślił, gdy wiosna nadeszła, do Płocka się udać, kędy przyjacielem miał Mikołaja z Milanowa, skarbnika przy starszym księciu Ziemowicie.

Zwyczajem swym z tem, z czem jechał, wydawać się nie chciał. Za pozor dobry służyć mu miało, iż Lasotę, powinowatego, który ze śmiercią Kaźmirzową, został bez służby, przy mazowieckich księżętach chciał umieścić. Ani też Lasocie się nie zwierzył z czego innego, tylko mu myśl tę poddał.

— Nim się co innego znajdzie — rzekł mu — abyś nie tęsknił w tej dziurze u mnie bezczynny, czemuby na Mazurach nie spróbować? Książęta są nasi, a urosli teraz w moc większą. Służą u nich ludzie i — dobrze im się dzieje.

— Tak ci — z małym uśmiechem odparł Lasota — słyszeliśmy o tem, jako tam pod ks. Ziemowitem zdrowo i bezpiecznie... kogo końmi nie roztargają albo nie powieszą, temu zdrowo.

— Ks. Ziemowit — żywo przerwał Dersław — nie ten już co był, złagodniał dużo. Zresztą sami zobaczmy, co się tam dzieje. Stary książę na zajęty po śmierci króla Płocku siedzi i obwarowuje się, młodzi w Czersku i Warszawie. Przy starym mój Mikołaj z Milanowa skarbnikiem, odwiedzić go pojedziemy. Nie spodoba się nam, siłą nas nie zatrzymają.

Lasota odgadł może, iż nie dla niego samego jechał powinowaty, lecz nie dał tego znać po sobie.

Mazowsze onego czasu, dopiero, można powiedzieć, zaludniać się, karczować, i tak jak drugie ziemie, osadzać zaczęło. Mało co przed tem, gdy z Litwą zgody i pewnej granicy nie było, ze skrają szczególniej piaski i lasy pustynią stały.

Osiedlać się ludzie nie radzi byli, bezpiecznymi nie czując. Wielu ztąd Litwa nachwytała i w niewolę nauprowadzała, tak że w głąb puszczy rzadka ludność chronić się musiała. Teraz dopiero gęściej wioski stawały, i potroszę pola wydzielano, choć z nich wielkiego pożytku nie było, i po latach kilku zapuszczono nowiny, wydzierając z pod lasu żyzniejsze role. Miasteczka też wprzód ubogie, potroszę się zabudowały, a i zamczki z kamienia i cegły na wzór Kaźmirzowski stać poczęły.

Wziął książę Ziemowit po królu Płock i całą tę dzielnicę dobrze zagospodarowaną, więc i swoje Mazowsze na wzór jej podnosił.

Z Piastów ówczesnych ta gałąź odszczepiona najbujniej i najsilniej się krzewiła. Dlatego na nią spoglądano nie bez myśli, aby jej przyszłe losy korony całej powierzyć. Nie zdradzano się z tem jeszcze. Dersław i przypatrzeć się chciał dworowi, przysłuchać, co tam tętniało, i wymiarować, czy na Mazowieckich Wielkopolska rachować może.

Bywali tam z Wielkiej Polski niejedni, ziemianie się kumali i żenili, przecież Mazury jakoś odrębnie stali i zbliżenia zupełnego nie było. Wielkopolanina od Mazura łatwo było rozpoznać.

Powolniej tam w te puszcze, na te wydmy piaszczyste, do tych wsi rzadko rozrzuconych, dochodził obyczaj europejski, którego Krakowianie już dużo i Wielkopolska potroszę chwyciła.

Ziemiańskie na Mazurach żyli z prostą, stary obyczaj, odzież, język, odwieczne obrządkie różne się tam, zwłaszcza u uboższych uchowały. Stosunki z Litwą po nad granicami, nawet pogań-

skiego dużo poprzynosiły i stare bałwochwalecze zwyczajnie odżywiały. W niektórych wioskach, choć ksiądz był, choć się ludzie żegnali, choć do kościoła zaglądali, Pan Bóg prawdziwy razem u nich stał z dawno wygnanymi. Przy weselach, chrztach, pogrzebach, proboszcze na wiele obyczajów i pieśni uszy zatykać musieli.

Po nad większymi gościńcami, kędy kupiectwo ciągnęło, u brzegu rzek, które też drogi stanowiły, lud się już trochę oglądził; w puszczech jeszcze, zobaczywszy obcego, a zwłaszcza zbrojnego, krył się i uciekał. Z chat całymi rodzinami zbiegali wieśniacy na widok podróżnych.

Wioski też te, do których rzadko obcy zaglądał takimi tu pozostały, jakimi przed wieki były; chałupy w nich dymne stawiono, a w zagrodzie ludzie, bydło i owce razem na kupie żyło.

I pół nie wiele jeszcze widać było, bo się około nich praca rzadko opłacała. Z trzody, z lasu, z rzeki żył włościanin, i z nowin, które na popielisku ledwie radelkiem poruszywszy, a lada gałęzią zabronowawszy, rad był, gdy mu choć rzadki kłós wydały.

Wśród takiego ludu żyjąc, i ziemianin i ksiądz stawał mu się potrosze podobnym.

Więc tu, oprócz książęcego dworu, nie łatwo było ujrzeć suknię kosztowną, zbroję lśniącą i strój wykwinny. Proste grube sukno, płótno szare i kożuch panowały. Oręż też staroświecki, oszczep drewniany, kęsem żelaznym zaostrzony, najpospolitsze były.

Po wsiach wielu żelazo za drogi kruszec uchodziło, na który się łakomiono, jakby na srebro i złoto. Nie każdy mógł mieć nóż, lecz się bez niego umiano obchodzić. Na wozach długo potem jeszcze okowy żadnej nie znano, a siekiera w domu wielkim skarbem była.

Ubóstwo to pozorne przecież nie czyniło Mazurów nędzniejszymi od innego ludu. Las był

wielką skarbnicą, on dostarczał wszystkiego: jadła, opału, buduleca, obuwia i wici. Był niby dymem, niby twierdzą. Na gołych górach i niezarośniętych miejscach, ledwie kto się budować ośmielił, bo ten tylko bezpiecznym się sądził, którego dojrzeć i wyszukać było trudno.

Stary Dersław zwykł był się w podróż wybierać, nie gromadząc ludzi wielu, bo wiedział, że poczet wielki a świetny, wałęsających się po lasach zbójów przynęcał. On, Lasota, około dziesiątka czeladzi, odzianych niepokaźnie, wyjechali z Wielkiej Wsi do Płocka.

Drogę mniej więcej starym zwyczajem przepowiedzianą sobie mieli: do brodu jakiegoś wprost od niego nad ruczajem w lewo od wzgórzy piaszczystych, potem doliną na przełaj, nad łąką i tym podobnie. Na polach też gdzieś spotykało się pastucha, parobka z radłem lub wędrownego dziada, którzy drogę do najbliższego miejsca pokazywali.

Spuszczano się na to.

I tym razem Dersław trochę na Opatrzność Bożą rachując, z miejsca wyruszył, a choć się skazówek w prawo i lewo trzymało, ku wieczorowi zapadłszy w puszcę dziką, tak dobrze zabłądzili, iż gdy noc nadchodzić zaczęła, już myśleli o noclegu pod gołym niebem na polanie.

W tej porze roku nocleg w lesie wielkim nieszczęściem nie był, bo konie napaść na trawie mogli, a woń rozpuszczających brzoź i rozkwitających czeremch nie była przykrą. Miejsce, w którym się znajdowali, ciągle kołując dla natrafienia na jaką ścieżynę, śladu ludzkiej stopy nie okazywało. Las stał wyrosły pod niebo wiekami, miejscami podszyty gąszczami i zawałony łomem, który przebyć było ciężko. Ostępy dawno nie płądowane, gdyby nie wieczór, zmusiłyby ich do polowania, bo zwierz tu, zabezpieczony, leżał spo-

kojnie w barłogach i ledwie na ciśnienie oszczepu zrywał się do ucieczki.

Dersław powiadał, że takiego dzikiego lasu zdawna nie widział, i że chyba bardzo się z drogi zbieć musieli, gdy się w taką zapadlinę dostali.

Szukano tylko miejsca sposobnego na spoczynek, gdy z pomiędzy drzew ukazała się rzeczulka, wśród moczarów, a po za nią na piaszkowatym wzgórzu, coś jakby stare, opuszczone horodyszcze.

Wiele podobnych już naówczas, po kraju spotykać było można, co niegdyś, za pogańskich czasów za schronienie i gromadzenie się wieców służyły, a teraz trawą porastały.

Bloto i rzeczulka dzieliła podróżnych od pagórka. Lasota się rzucił naprzód, szukając brodu, i wkrótce począł wołać ku sobie Dersława, gdyż na moczarach znalazł hać i rodzaj drożyny.

Był to już ślad, że tu w pobliżu ludzie żyć musieli. Puścili się więc podróżni, spodziewając albo znaleźć domostwo jakie, lub choćby na wzgórkach suche legowisko.

VII.

Słońce już zachodziło jaskrawo i zlocisto, ale na dworze jasno jeszcze było, jak we dnie i okolicy dobrze się przypatrzeć mogli. Nie ulegało wątpliwości, iż się ku osadzie jakiejś zbliżać musieli. Hać świeżo gałęziami narzucona była tego dowodem. Rzeczka w tem miejscu koniom ledwie po brzuchy sięgała, choć woda była wiosenna.

Na przeciwnym brzegu i kopyt końskich i nóg ludzkich w piasku widoczne były ślady. Wiodły one ku górze, na której dotąd zabudowań żadnych i gródka ani wałów widać nie było.

Lecz, gdy rozmawiając głośno, wdrapywać

się zaczęli na ów kopiec piaszczysty, w chwili, gdy się tego najmniej spodziewali, zjawił się przed nimi dziwnie przyodziały i uzbrojony mąż, który im na drodze stanął, jakby chciał dalszy pochód hamować.

Mąż był letni, z długim siwym, włosem spływającym mu na barki, silny i barczysty, w kółpaku na głowie, podobnym do litewskich, w krótkim przyodziewku z brunatnego, grubego sukna, skórzanym pasem podciągniętym; nogi miał osznurowane, jak wieśniacy, i w chodaki odziane. U boku wisiał mu szeroki miecz w ciemnej pochwie, a w rękę jednym miał grubą pałkę, nabijaną krzemieniami.

Chociaż strój ten prawie go dzikim czynił, twarz wcale nie była pospolitą, rysy miała szlachetne i niegdyś piękne, a dziś jeszcze smutną dumą napiętnowane. Bródka i wąs ciemniejsze od włosów, podstrzyżone, nie osłaniały ust, których wyraz, równie jak namarszczonego czoła, niemal gniew zdradzał.

— He! — zawołał — dokąd? kto? stój! Co was tu zagnało?

Dersław, który naprzód wystąpił, z wymowy poznał, że nie z Mazurem miał do czynienia.

— Na Boga — odparł — cóż tu u was drogi podróżnym nie wolne? Gdzieżeśmy się tu dostali?

Po chwili hamujący ich zawołał:

— Dostaliście się, kędy ani was niepotrzebowano, ani wam było potrzeba.

— Więc już zabłąkanym nawet drogi nie pokazecie?

— Gotowem nawet poprowadzić — ofuknął stojący — ale tu wam nie potem jechać. Tu nie ma ani gościńca, ani gospody. — Zkąd wy? — dodał gniewnie.

— Z Poznania do Płocka — rzekł Dersław.

— Lichoż was tu zaniósło!? Wstąpił do pie-

klów, po drodze mu było! — krzyknął zastępujący ścieżynę.

— No, a gdzież jesteście i kto wy jesteście? toć wiedzieć wolno — rzekł łagodnie Dersław. — Co u licha, zbójami nie jesteście.

— Kto ja, to wam na nic niepotrzebne — wołał nieznajomy. — Nie jesteście zbójami, ale na zbójów możecie natrafić.

Mówiąc to, przyglądał się pilno Dersławowi i jego ludziom.

— Zawracajcież ztąd — począł znowu — tędy wam nie droga... a chcecie nocować, to na drugiej stronie rzeki wypas dla koni znajdziecie.

— Na pagórku by nam lepiej było — wtrącił Dersław.

Gniewny człek cały się zatrząsł.

— Powiadam wam, na pagórku niema dla was nic. Z Bogiem, z Bogiem ruszajcie, z kąd przyszłście. — I palcem im pokazał w przeciwną stronę.

W spokojnym Dersławie krew grać zaczęła.

— Z mowy waszej — rzekł — widać, żeście nie lada prostym parobkiem, a obchodzicie się z nami gorzej chłopu. Czegoż nas ztąd pędzicie?

— Boście tu ani wy, ani nikt niepotrzebny — począł wołać głośno mężczyzna. — Tu pustynia, tu niema nic. A ktom ja, parobek czy ziemianin, nikomu nic do tego.

— Ależ to u nas nie bywało — wtrącił niecierpliwszy Lasota — żeby gdziekolwiek zapierano podróżnemu drogę i nie dawano mu nawet spożyć, a popaść koni.

— Spoczywajcie! konie paście tam za rzeczką — krzyknął, tupiąc nogą i podnosząc oszczep nieznajomy. — U nas, co nie bywało nigdy, to się może stać. Drogę do Płocka gotowem wam jutro rozpowiedzieć.

I drżącą ręką znów pokazał na rzeczkę. Der-

sław patrzył nań, jak w tęczę, i odrazu uśmiechać się począł.

— Słuchaj, Okoń, a toś ty oszalał, czy co?

Gdy to imię wymówił, stary się rzucił gwałtownie, przypadł ku niemu z takim ruchem, że się Lasota miał już do miecza. Dersław pozostał spokojnym.

— Byłbym gardło dał, że ciebie na świecie niema! — zawołał.

— Tak, bo Okonia na waszym świecie niema... niema — począł gniewnie stary.

Lecz powiedziawszy to, jakoś ochłonął, opamiętał się.

Dersław podszedł ku niemu.

— Jeśli o to idzie — szepnął mu — abym cię ja nie zdradził, toć mnie znasz... Udobruchajże się; ludzi, kiedy chcesz, za rzeczkę noclegować odprawię, a mnie nie odpędzaj tak bezczesznie.

Okoń zdawał się namyślać.

— No, ludzie za rzeczkę — zawołał — za rzeczkę, i żeby mi się tu nie napychali... niema po co!

— To mój powinowaty, młody Lasota Nałęcz — rzekł wskazując Dersław — mógłby i on z nami zostać.

— A co on tu robić będzie? — syknął Okoń — tam ludziom potrzebniejszy, niż tu nam.

Stało się, jak chciał; zwolna czeladź Dersławowa i Lasota zwrócili się nazad, wyrzekając i mruczając; stary Nałęcz pozostał z tym, którego Okoniem był nazwał.

Nie mówili do siebie nic, bo ten jeszcze zapierzony i niespokojny, do siebie przyjść nie mógł. Spluwał i rzucał się, pomrukując tylko.

— Licho was tu naniósł.

Dersław czekał spokojnie, aby mu odeszły gniewy.

Po chwili Okoń zbliżył się z ręką wyciągniętą do niego.

— Rękę mi daj i poprzysiąż, że ani ty, ani twoi o mnie tu... o tem miejscu i spotkaniu mówić nie będziecie. Okoń zmarł... co wam do Okonia! I powtórzył: lichu was tu naniósł.

— Pewno, że lichu — odparł Dersław — ale ja cię nie zdradzę, ani moi... Powiedzże mi, co ty tu robisz?

— Na Chrystusa mi przysięgasz? — podchwycił Okoń.

— I na Ewangelię Jego — palce w krzyż składając i całując je, rzekł Dersław.

Okoń pomyślał chwilę, obejrzał się na odjeżdżającego Łasotę i czeladź, którzy już rzeczkę przebywali, powstał milczący, aż gdy na zawrocie wierzby ich zakryły, za uźdę wziął konia Dersława i milczący począł go za sobą prowadzić.

Nałęcz dawał z sobą czynić, co chciał. Szli tak ku górze zwolna, aż wreszcie Okoń się odezwał.

— Oto widzicie, gdzie się ja zabił. Ziemia była bezpańska, czart jeden wie, do kogo ona należała, ja po dziśdzień o tem nie wiem. Na ziemi bezpańskiej człowiek, bez służby i bez pana siedział i siedzi... Nikogom o pozwolenie nie pytał, pustoty grodek zajmując, więcem nie rad, gdy mnie tu kto widzi, a rozgada i potem upomni się kto jeszcze, albo wyżenie, albo z kim będę wojnę krwawą miał.

— Ale na Boga, Okoniu mój! — przerwał Dersław — jakże ty, coś urzędy na książęcych dworach sprawował, coś do ludzi przywykł był, mogłeś tu siaść... tak...

Nie dokończył.

— Właśnie dlatego, że na dworach zęby zjadł, że pański gorzki chleb zadługo gryzł, że ludzi zbrzydził, poszedłem na tę pustynię — zawołał.

— I żyć tu możesz?... sam...?

Na to pytanie Dersława nie odpowiedział Okoń. Właśnie drożyna kręta, którą się na wzgórze spinali, zakręcała się i w wąwozie, jakby mię-

dzy przerwanemi starymi wałami, w dół nieco się spuściwszy, ujrzał Nałęcz jakby misę ogromną, wklęsłą, starego grodziska podwórze, trawą zarosłe. Do jednego z usypów przyparta była chałupa na pół w ziemi, na pół z bierwion grubych, po nad nią wystająca.

Dokoła też szop i kleci było dosyć, ale to wszystko biednie i nędznie wyglądało.

Gdy w dziedziniec, zewsząd osłonięty wałami, wjeżdżali, ludzi kilku, jakby na pogotowiu stojących z toporami w rękę, wyjrzało, i na dany przez Okonia znak, pochowali się, oprócz przygarbionego parobczaka na krzywych nogach, który Dersławowego konia wziął.

Okoń gościa swojego prowadził do głównej chałupy. Tu niewiasta w białej namitce, nie stara jeszcze, stojąca w progu, z przekleństwem jakimś, obcego najrzawszy pierzchnęła.

Chata była nędzna zewnątrz, ale świetlica w niej mała, chędogo i cała zawieszona orężem, zbroją i skórą, podobną była do namiotu w obozie, kiedy czas go rozbić na dłużej.

Kwaśno Okoń przyjmował starego znajomego.

Miodu dla niego poszedł do kąta sam utoczyć, chleb czarny i sól przed nim postawił, i na niskiej ławie siadł przy nim. Sparł się na rękę, zdjawszy kołpak, i nie rychło się odezwał.

— Widzicie to moi państwo... U moich dawnych panów psy lepiej mieszkaly, ale mnie tu dobrze, bom ja tu panem też... Co było robić? Służyłem Mazowieckim, o małym życiu nie postradał niewinnie, byłem wprzód u Białego, włóczyłem się z nim po świecie. Ten się z księcia mni chem zrobił, już nowych panów szukać nie chciałem. Natrafiłem na tę wydmnę pustą; powiadam wam, była bezpańska, spodobała mi się, że tu naokół ludzi niema, obszary ogromne... wszystko moje... poluj kędy chcesz, bij co chcesz, karczuj, siej,

ryby łów, nikt ni słowa nie powie... A dla kogoż Pan Bóg ziemię stworzył? Teraz ona moja... Osiedliłem się. Ludzi trochę do mnie przystało, prawda, że włóczęgi i zbóje, ale ja ich trzymam, jak bydło, bijąc i karząc... chleb mają, słuchać muszą. No, i babem napisał, żeby było komu chusty uprać. Jakby się ludzie dowiedzieli, że na pustkowiu ktoś siadł, do gotowegoby się kto mi przypisał. Mnie tu nikt nie widział, nie wie o mnie nikt, dlatego i wam nie rad.

Dersław ruszył ramionami.

— Ktoby wam tej wydmy pozazdrościł! — rzekł pogardliwie.

— Tem lepiej, zostanę w mojej dziurze, a po mnie...

Machnął ręką.

— Niech będzie co chce... Parobkom zimą kazałem dąb srogi spuścić i żłób z niego zrobić na trumnę. Wieko jest... gwoździe są... Pochowają mnie tu... i koniec wszystkiemu temu życiu głupiemu.

— Mój Boże! — westchnął Dersław, — ktoby się w was tego Okonia dawnego domyślił, który dziewczkom głowy zawracał i tak strojno występował, a tak na koniu harcował i oszczepem dzielnie ciskał!

Uśmiechnął się temu wspomnieniu Okoń.

— Ha! — rzekł — konia ja jeszcze i dziś dosiędę i oszczepem rzucę, jak dawniej, tylko od niewiast i od dworów ochota mi odeszła.

Milczeli nieco, aż Okoń głowę podniósłszy spytał.

— Do Płocka? po coś wy do Płocka?

— Albo wy wam to rzec, albo nie — odparł Dersław. — Wy nie chcecie, aby o was ludzie wiedzieli, ja też nie radem się spowiadać.

— No, to kat cię bierz — rzekł Okoń obojętnie — jedź sobie i do Płocka, i do Czerska, i do Warszawy, mnie to wszystko jedno.

— Nie wiesz, co się u nas dzieje? — wtrącił Dersław.

— A mnie co po tem? — rozśmiał się Okoń. — Nie chcę wiedzieć o niczem, byle o mnie nie wiadano.

— Juści o tem choć musiało do was dojść, że król Kaźmirz umarł — rzekł Dersław.

— Wieczny mu odpoczynek — zamruczał Okoń. — Pan był dobry, ale pono, jak ja, mówił, niech po mnie co chce będzie.

— Tak, i panuje nam Ludwik węgierski, a raczej baba, stara matka jego.

— Stara? a no jej do klasztoru już i pacierze klepać... nie panować!

— Ba, żebyście wiedzieli, jak świeżo wygląda, a co gachów koło tego trupa się kręci — mówił Dersław. — Ino śpiewy, płasy i uczowanie a śmiechy...

— Koło niej to zawsze tak bywało — przerwał Okoń, — tylko już ustąpić powinno. Czas...

— Ta nam króluje — ciągnął Dersław dalej — miarkujecie... jak nam z nią i jej synem.

— I cóż myślicie?

— Jeszcześmy nie wymyślili nic — rzekł Dersław.

— Okoń popatrzył nań bacznie, głową potrząsł.

— Niceście nie wymyślili, a wy jedziecie do Płocka? — mruknął. — Odgadnąć łatwo, po co! Chcielibyście może Mazura skosztować, gdy wam Węgier nie smakuje?

Dersław milczał.

— Ten nie lepszy — ciągnął Okoń. — Baba wam za miękka, a on będzie za twardy... To kat, nie pan.

Zachnął się na te słowa Dersław.

— Co prawicie? — zawołał.

— To, co najlepiej wiem — mruknął Okoń. — Przecież długo panem moim był, a ja u niego

cześnikiem. Nie daj Boże w jego ręce się dostać.

— Mówią, że na starość spowolniał?

Okoń się rozśmiał.

— Siły nie ma, to i złość w sobie kryje — rzekł.

Zmierzchało się coraz bardziej i gospodarz poszedł do komina drzazgi zapalić dla oświetlenia ciemnej izby.

— Ochotę mi odejmujecie jechać do Płocka — rzekł Dersław — lecz on, nie on, dwu synów ma.

— Byle się w niego nie wdali — syknął Okoń — nie dwu ale i trzech się znajdzie.

Dersław siedział trochę zamyślony.

— Przed wami się taić nie chcę — rzekł w końcu — wy mi możecie dać radę dobrą. Wielkopanie Piasta sobie szukają, aby go królem zrobić... Pomyśleliśmy o Ziemowicie... Jakby ten nie chciał, albo my go nie mogli... gotowiliśmy waszego Białego z klasztoru wyciągnąć.

Usłyszawszy to, Okoń się z ławy zerwał i śmiać począł dziwnie, aż się zanosił.

— O! krętoż około was być musi, kiedy szczupaka nie mając, taką płocicę na stół kładzicie! — zawołał. — Biały? a toć to taki książę, że nigdy nie wiedzieć co zrobi jutro. — Zechcecie? pójdzie z klasztoru, zbroje wdzieje, dwa dni się będzie bił, trzeciego się klęknę modlić, czwartego się gotów żenić, a piątego żonkę porzucić.

Śmiał się urągliwie Okoń.

— Wy bo — wtrącił urażony Dersław — na nikim nitki nie zostawicie pocziwej, krzywi wam wszyscy.

— Jako żywo! Białego kochałem, i kocham, służyłem mu. Człek nie zły pod czas, ale jutro się gotów wściec, choćby pojutrze płakał na to. Takim się rodził.

— Klasztor ci go uśmierzył i odmienił pewnie — rzekł Nałęcz.

— Bóg wie! — westchnął gospodarz — mnieby się temu wierzyć nie chciało. Zmieniają się ludzie, tylko nie tacy, u których żaden dzień do drugiego niepodobny. Na króla taki pan najgorzszy, a choć Mazur ciężką rękę ma i gwałtowny jest, i życie ludzkie u niego słomki nie warte... już i ten byłby lepszy.

Okoń siadł na ławie i w ogień patrząc, dumał.

— Ja bo, przyznam się wam — począł znowu Dersław — o Mazurach mało co wiem. Dopiero do starego druha, do Mikołaja z Milanowa, jadę, języka wziąć.

— Na to nie potrzebujecie Mikołaja — westchnął Okoń — ja ich lepiej od niego znam, bom bliżej sypialni i stoła był... Znać historię jego i onej drugiej żony... a tego syna, którego on teraz tak kocha?

To mówiąc, uśmiechnął się złośliwie Okoń, i wnet poprawiając się dodał:

— A no, lepiej pono, żebyście się o tem nie odemnie dowiadawali.

Wstał i za drzwi się wychyliwszy o wieczrę zawołał, na co mu baba swarnym krzykiem coś odparła.

Nim podano wieczerzę po chłopsku zgotowaną i starą słoniną zaprawną, Dersław miał czas się odezwać.

— Uczynilibyście mi łaskę, Okoniu, gdybyście mnie Mazura waszego nauczyli. Choć Mikołaj z Milanowa zna go, jak wy, ale jest u niego w służbie, całej mi prawdy nie powie. O tej jego drugiej żonie głuche wieści chodziły tylko, mało co wiem i z głowy mi wywietrzało.

— Jam na to wszystko patrzył — westchnął Okoń.

Możeby się zdzięwały już człek nie bardzo rozgadał, ale stary miód był na stole, rozgrzał go i język mu rozwiązał.

Stare przysłowie trzyma o Polakach, że źli

są gdy głodni, możnaby do niego dodać, że gdy trzeźwi, nie radzi mówią, a wino, lub miód nadto ich otworzystymi czynią. Ta już natura nasza.

Począł więc Okoń, po długiem milczeniu wywnętrzać się.

— Prawda — rzekł — po dworach książęcych gdym służywał rycersko i z kluczami, człowiek więcej miał dostatku, życie było łatwiejsze, lecz niech tam te pieścizny kat porwie, gdy nigdy głowa na karku nie jest bezpieczną, a lada zły język niewinnego może obalić. Pośliźnie ci się noga, nie znajdziesz ktoby ratował, uciekną wszyscy jak od zapowietrzonego. Więc już ja na pustyni żyć wolę, kędy oprócz Pana Boga niema nikogo nademną.

Gdy tak rozmawiali, wszedł parobek krzywonoga, bo się zrobiło późno, a na noc jakieś rozkazy miał wydawać Okoń.

Choć tam nigdy prawie ludzie nie zaglądali, strzeżonego Pan Bóg strzeże; co noc musiała straż chodzić około gródka. Wyzначzył więc Okoń, kto miał czuwać do rana.

Rozmowa się na czas przerwała, wyszli nawet na próg, z kąd gospodarz na czeladź zawołał, spytał kędy na nocleg konie odprawiono, pogroził niedbałym i stanął nieco wedle zwyczaju, powietrzem świeżem odetchnąć.

Noc wiosenna piękna była bardzo, woniejąca, a żaby w moczarach pod górą i słowiki w krzakach na wyprzódki chórem nuciły pieśń swą i gwiazdy mrugały dziwnie na ciemnych niebiosach.

— Nie kłaść nam się spać w taką noc, która bodaj od dnia jest piękniejsza — odezwęł się Dersław. — Siądźmy gdzie i praw mi Ziemowitowe dzieje, bom ich żądny.

Przed wejściem do chałupy leżało kilka kamieni, które tam przywędrowały, gdy gródek jeszcze przed wieki obwarowywano, siedli na nich,

i Okoń po chwili powoli rozpoczął, już się prosić nie dając.

Przyszła mu ochota swoje omszone wspomnienie odżywić.

VIII.

— To wam nie tajno — począł Okoń — że Mazowsze ostatniemi czasy dopiero zaludniać się i dźwigać poczęło, bo przez długi czas samemi klęskami nawiedzane było. Wpadali i łupili je Litwini, dwa razy srogi mór i straszne wrzody spuściły na całe obszary, tak że z niektórych wiosek żywa nie pozostała dusza. Ze wszystkich stron nieprzyjacioły było otoczone. Każdy je sobie chciał przywłaszczyć. Musieli radzi nie radzi książęta kłaniać się i dworować, z Litwą się bratać i Kaźmirzowi nie mogąc się oprzeć, hołdować.

Ziemowit tak na wpół pokorą, wpół oporem wyprasząc się i broniąc Kaźmirzowi królowi, utrzymał się przy całem księstwie, bo teraz już i Płock zajął. Krzyżaków też trzeba było zagażać i żyć z nimi tak, aby nie napastowali.

Brzemie takie na ramionach mając, może i nie dziw, że książę Ziemowit stał się podejrziwym, porywczym, a podczas nawet okrutnym.

Z poddanych też ciągnął pobory wielkie, bo skarb musiał mieć zapaśny, aby się tam, gdzie zawojować nie mógł, okupić.

Jeszcze za młodu ożenił się był książę z Ofką, Opawskiego córką, z którą żył bardzo długo i czworo z niej miał potomstwa, córek dwie i dwu synów.

Miał już naówczas prawie sześćdziesiąt lat, gdy mu Ofka zmarła, po której bolał wielce i z żalu się po niej utulić nie mógł. Dzieci miał już dorosłe, a synowie patrzali tylko, rychło im dzielnicę wypuści, aby pójść na wolę...

Trafiło się naówczas, że z Krzyżakami, od których nikt nigdy spokoju nie miał, przyszło do sporu o granicę, a choć Ziemowit z nimi w zgodzie żył, lecz że go posadzać zaczęli, iż z Litwą się zwąchał, co prawdą było, dokuczać mu zaczęli.

Więc posły nie posły, listy i groźby i wymagania były takie, że choć książę ustępował im, i przejednać chciał, niezem ich nie mógł uspokoić.

Wybrał się więc z prośbą o pośrednictwo na dwór cesarza Karola IV do Pragi, z pięknym poczem i jak na Piasta królewskiego rodu przystało.

Cesarz go przyjął miłościwie, pomoc obiecał, i na dworze swym gościnnie zatrzymał. Jaki to dwór był, wy też wiecie, bo głośna o nim po świecie całym sława chodziła. Pięknych niewiast i rozumnych ludzi pełno na nim było; na jedne patrzeć, drugich słuchać mógł człowiek i nie nasycić się. A że obojga pono u siebie Ziemowitowi brakło, rad się stary krzepił i bawił. Miał już naówczas lat sześćdziesiąt, jakom rzekł, ale ich na nim znać nie było. Wszysey ci Piastowie, jak Łoktek, jak Kaźmirz, do późnych lat umieją zachować się młodo. Ten też starym się nie czuł.

Na dworze cesarskim przebywała naówczas z siostrą swą, księżną Cieszyńską, Heleną, młodziuchną Ludomiłą, córka księcia na Ziembicy, nie mająca jeszcze lat dwudziestu. Była dziewczką piękności nadzwyczajnej, a więcej niż urodą, ludzi ku sobie urokiem jakimś przyciągająca, tak, że jednym głosem ją tam pod niebiosa wynoszono.

Pomimo wieku swojego książę Ziemowit, gdy ją ujrzał, natychmiast ku niej gorzeć zaczął, lecz sam z początku do tego się nie przyznawał przed sobą, bo czyste szaleństwo było sześćdziesięcioletniemu kusić się o dwudziestoletnią dziewczkę.

Dworzanie, którzy tam z nim byli, a dobrze go znali, zaraz się dopatrzyli, iż mu bardzo w oko wpadła. Szczególniej ulubieniec księcia, Bawor,

przewrotna sztuka, podczaszy starego, pochlebca i wróg wszystkich, co się o łaski pana ubiegać mogli, sam pono w młodej księżniczce szatańsko się rozmiłowawszy, umyślił ją staremu swatać, w nadziei, że ją potem sobie pozyszcze.

Wiedział on dobrze, jak z Ziemowitem postępować było potrzeba; dał mu się upoić tem miłowaniem i dopiero, gdy stary zmysły postradał, szeptać mu począł, że byleby chciał ubogą księżniczkę, za pośrednictwem siostry dostanie łatwo. Sam zaś, niewiadomo, jakimi drogami, Cieszyńskiej moc, bogactwa i potęgę pana swego tak odmalował, że ją pozyskał.

Z synów żadnego nie miał podówczas Ziemowit przy sobie, boby ci, jak później, wystąpili przeciw temu małżeństwu z obawy, aby ich więcej nie przybyło do podziału Mazowsza.

Gdy tylko staremu zabłysła nadzieja, iż Ludomiłę poślubić może, wnet na wszelki sposób, podarkami i przez ludzi księżną Cieszyńską sobie zyskiwać począł.

Do dziewczeczki też zbliżył się, choć z trwogą od niego uchodziła i samego cesarza Karola pono w dziewosłęby sobie uprosił.

Słowem, iż nalegania były tak natarczywe i wielkie, że księżna Cieszyńska swoją pomoc przyrzekła. Siostrę jakoś potrafiła do powolności skłonić, wielką jej rokując przyszłość, i gdy Ziemowit z Pragi wyjeżdżał, już wiozł wszelką nadzieję, że umiłowaną dziewczeczkę mu dadzą.

Bawor też cieszył się tem, rachując na młodość księżnej i na mądrość swoją. Lecz gdy stary do Warszawy powrócił, a synowie i córki o małżeństwie się dowiedzieli, wrzawę i lament podnieśli wielki.

Nasadzili nań duchownych, nasłali zięciów, — wszystko to nie pomogło nic; Ziemowit rozsierzdził się okrutnie, dzieciom zagroził i milczenie nakazał.

Natychmiast do Ziembicy posłał Bawora o małżeństwo się układać, podarki szląc wielkie, obietnice czyniąc księżniczce złote.

Więc choć Ludomiła oplakała krwawo ten związek swój, iść musiała.

Wydano ją za starego, z czego łotr Bawor najwięcej się ucieszył, zabiegając o łaski młodej pani. Lecz próżne to były starania, bo księżna patrzeć ani na niego, ani na nikogo nie chciała.

Z samej obawy męża, który, jak wszyscy starzy, zazdrosnym był i podejrzującym, oczów na nikogo podnieść nie śmiała.

Był wówczas na dworze naszym młody chłopak, którego i księżę i wszyscy lubili, bo był i pięknym bardzo, i miał w sobie takiego coś, co do niego przyciągało.

Włosów jasnych, oczów niebieskich, białej twarzy tak, że się więcej niewieścią niż mężką wydawała, był ten Dobek wszystkim miły, a kobiety za nim przepadały. Naturę miał łagodną, bojaźliwą prawie, miłosierną nad miarę, a chętnie usłużną.

Przytem nie głupi był i nad wszystkich dworzan księcia więcej umiał. Wychował go sierotą na plebanii proboszcz w Słońsku, a byli tacy, którzy domyślali się i powiadali, że księżyna ojcem był.

Miłował go też nadzwyczajnie, sam uczył, z domu nie odpuszczał i ledwie na książęcy dwór, gdy Ziemowit tego zażądał, na służby go oddał.

Tu z pacholęcia, że się umiał zasługiwać, a nieprzyjaciela nie miał, poczał zaraz do góry iść, księżę go od siebie nie odpuszczał, wreszcie podчасzym uczynił.

A no prawda, iż Dobka tego nie można było nie pokochać, tak za serce chwycił: mową, głosem, uprzejmością i dobrocią.

Gdy księżna Ludomiła na dwór nasz przybyła, a dano jej do posług Dobka, i ona też bar-

dzo go sobie podobała, tak, że wkrótce obejść się bez niego nie mogła.

Bawor tedy zazdrość wielką uczuł i najprzód poczał przeciw podczaszemu knować, różne przeciw niemu winy wynajdywać, księciu podszeptywać—co się nie powiodło.

Myśmy na to patrzyli, a przewidywali, iż się źle skończy, bośmy znali naturę Bawora złą, mściwą i podstępną, a Dobek nieopatrzny był i księżna także.

Choćby był może rad od niej unikał, dla złych języków nie mógł. Księżna go raz wraz do siebie wołać kazała; czasem późno w noc musiał u niej służbę pełnić, i ludzie szemrali.

Bawor pierwszy się z tego wyśmiewać poczał i rzucać ostre słowa, ale Ziemowitowi nie ważył się nie sam rzec. Próbował wprzód, czy inaczej nie skorzysta, i mówią, jakoby raz księżnę samą zszedłszy, zuchwałem słowem ją zaczepił tak, że mu precz iść kazała i więcej się sobie nie pokazywać na oczy. Dobek zaś jak był w tych łaskach, tak pozostał, i więcej teraz pani niż panu podczaszował.

Lecz że i księżnę Ludomiłę kochali wszyscy i Dobka lubili, kto mógł ich zakrywał, osłaniał, nie dopuszczając, aby Baworowi dać pozór do oskarżenia.

Stało się wtenczas, iż księżna młoda w błogosławionym będąc stanie od kilku miesięcy, gdy mąż do Cieszyna, do siostry jej w odwiedzin pojechał, towarzyszyć mu nie mogła.

Bawor tak ułożył podróż, iż Ziemowit Dobka z sobą wziąć zapragnał, za którym księżna Ludomiła prosić przyszła, aby go jej dla usług zostawił. Ziemowit nie się jeszcze nie domyślając, przystał na to, Bawora wziął z sobą, który ze złości zemstę już okrutną układał.

Gdy na dwór księżnej Heleny przybyli, a Ziemowit się tam zabawiał, korzystał z tego Bawor,

aby między ludźmi puścić gadkę, że księżna nie przyjechała, bo wołała wieczory spędzać z Dobkiem, który jawnie i bezwstydnie kochankiem jej był, o czem świat cały miał wiedzieć.

Zaczęto o tem mówić tak głośno, iż księżna Helena i syn jej Przemysław dowiedzieli się o tem.

Ubodła ich ta niesława młodej pani, choć nie wierzyli, by słusznie ją oskarżono, i księżna Helena wprost Ziemowita o to zagadnęła.

Starzec, który żonę nad wyraz wszelki miłował, a o nią wściekle był zazdrosnym, jakby mu się nagle oczy otworzyły, oszalał.

Tegoż wieczora, gdy cały drżący, dał się Baworowi rozdziewać, napadł nań, aby mu prawdę mówił, nie nie tał, i z kądby ta wiadomość urosła, pod gardłem natychmiast wyznał.

Bawor, niby przestraszony, do nóg mu padł, płacząc i łkając, i począł dopiero okłamywać księżną, iż się po nocach z Dobkiem zamykała, że tam on przy niej musiał być nieustannie, że ludzie wielką poufałość jego widzieli, i że starzec niegodziwie był oszukany.

Bawor tak dowodnie wszystko to opisał, dnie i godziny przywodził, tak jawnie tę zbrodnię wystawił, iż Ziemowit mu uwierzył.

Spytał go tylko, dlaczego mu wprzód tej tajemnicy nie wyjawił, na co zdraadny człek ze łzami, nogi jego obejmując, rzekł, iż tak dobrego pana się litował i t. p.

Tejże nocy księżę Ziemowit natychmiast Bawora samotrzeć odprawił z rozkazem, aby Dobka ujął i do więzienia dał. Sam zaś drugiego dnia wybrał się do Płocka.

Gdy się owa rozmowa w sypialni księcia w Cieszynie wiodła, przy której głosu swego Ziemowit nie miarkował, wykrzykiwał i burzył się okrutnie, jeden z dworzan podsłuchiwał ją, a że Dobka przyjacielem był, pobiegł i za wielkie pieniądze najawszy posłańca, odprawił go wprzód, nim

Bawor wyjechać mógł, dać znać Dobkowi, by natychmiast uchodził.

Stało się, że choć Bawor dniem i nocą śpieszył do Płocka, gdy tam przybył, już Dobka nie zastał. Rzeczono mu, że podczaszy właśnie był na Pomorze pojechał, listy tylko do obojga książąt zostawiwszy, w których o przebaczenie prosił, iż z pewnym kapłanem udając się do Ziemi świętej, pielgrzymkę tę miał odprawić.

Zniknięcie to Dobka, pomimo listów, w większe jeszcze podejrzenie księżnę podało.

Przybył stary Ziemowit i żony widzieć ani słuchać jej nie chcąc, rozżalony, nieubłagany, służebne dziewczki kazał wiązać na spytki okrutne, a choć nie nie wyznały i niewinność księżnej świadczyły, żonę wysłał do zamku Rawskiego, w więzieniu ją tam trzymać przykazując.

Mało było tej zemsty Baworowi, który nie rad, że mu Dobek z rąk uszedł, tak okrutnego Ziemowita umiał w gniewie i zjadłości utrzymać, że gdy księżna synaczka na świat wydała, udusić ją kazał.

Byłoby i dziecię padło ofiarą złego człowieka, gdyby litościwe ręce nie ocaliły mu życia. Rozgłoszono bowiem, że nieżywym na świat przyszło i potajemnie dano je na wychowanie na wieś o mil kilka od Rawy do szlachcianki Hinczowej, która jak około własnego, około sieroty chodziła.

Dowiedziała się o tem Salomea, księżna Szczecińska, siostra jego przyrodnia, a że wielką litość miała nad zmarłą i o jej niewinności przekonana była, postanowiła wziąć je do siebie.

Ułożono tak, iż nocą nasłani przez księżnę Salomeę ludzie na dwór Hinczów najechali i dziecię uwieźli, nie dając się poznać nikomu.

Siedm już lat upłynęło od śmierci Ludomily, gdy Bawor, który zawsze w wielkich łaskach był u starego, dowiedział się, że Dobek, powróciwszy

z pielgrzymki do Ziemi świętej, w Prusach się kiedyś znajdował.

Więc gniew, już uśmierzony latami, znowu wybuchnął w księciu. Umiał go podniecać jeszcze Bawor.

— Choćby nie wiedzieć co kosztować miało, mieć go muszę, — krzyknął książę — aby się bezkarnością nie urągał!

Bawor sam zajął się tą sprawą. Wysłał więc jednego z dworzan tak umówionego, aby Dobkowi zaręczył, że lat siedm pamięć wszystkiego zatarło, że książę niewinność jego uznał, przebaczył nieszczęście, którego był mimowolną przyczyną i widzieć go, a nagrodzić pragnie.

Nie skłonił się z razu Dobek do powrotu, lecz gdy posłańcy jeden za drugim, podjeżdżać, powtarzać i upewniać go zaczęli, naostatek dał się przekonać i pociągnął do Płocka.

Przybywał najpewniejszy, iż go tu łaska spotka i oczyszczenie, a tu nań czekano z krwawym wyrokiem.

Ratować go nie było sposobu, a nikt też z nas ani się domyślał, by stary książę taką straszną zemstę żywił w sercu.

Zaledwie zjawił się w Płocku, gdy już czatujący nań Bawor z kilku pachółkami chwyciwszy go, pociągnął na zamek.

Stałem u drzwi samych, gdy bladego i drżącego, z rękami załamanemi, niemogącego już nawet o litość prosić, bo mu trwoga mowę odjęła, wepchnięto do izby.

Książę stał w pośrodku blady, czekając w ręce chwyciwszy. Oczy mu zaciekle krwią i usta dygotały. Wiedzieliśmy, że gdy go taki gniew straszny opanuje, na nic nie pomni i własne dziecię gotów mordować.

Dobek zobaczywszy go, padł na kolana, złożył ręce i ostatkiem sił zawołał.

— Panie, na krew Chrystusa, Zbawiciela naszego przysięgam, jestem niewinny.

Zamiast odpowiedzi, książę podniósł czekając do góry i z całych sił uderzył go nim w głowę. Krew trysnęła, a Dobek padł na ziemię z krzykiem, od którego włosy mu na głowie powstały.

Pachółkowie podchwycili padającego, gdyż krew jego księcia obryzgała.

Ziemowit chciał mówić, ale z gardła mu się tylko krzyk straszny wyrwał. Dopiero odstąpiwszy krok, sparł się o stół i nie patrząc na Dobka, zawołał:

— Precz, koźmi go rozerwać na szmaty!

Bawor, który to usłyszał, dał znak i broczącego krwią na rękach w dziedziniec zamkowy wynieśli ludzie.

Okolo starego zaraz się zebrali urzędnicy, kapelan, jego poufni, ale wszystkich odpychał, nie słuchać nie chciał i bijąc w stół rękami, krzyczał ciągle.

— W szmaty zdrajcę rozerwać!

W podwórce też już siepacze gotowi wyrok spełniali.

Nikt na to okrucieństwo patrzeć nie miał siły, oprócz Bawora i oprawców.

Mnie, choć na wojnie i w różnych przygodach życia na krew i na męki nieraz przychodziło spoglądać, ogarnął jakiś strach i obrzydzenie takie, że zbiegł do komory, aby wrzasku męczzonego nie słyszeć.

Gdym potem wysunął się z izby, bojąc się spytać, lekając wyjść w podwórcę, znalazłem wszystkich milczących, więcej może strwożonych, niż ja. Zbliżyłem się ku izbie księcia i usłyszałem jęki i narzekania rozpaczliwe.

Stało się, jakom zmiarkował, coś takiego, czego zrozumieć było trudno.

Nie śmiałem pytać, gdy Szymczak, który był moim sługą, przystąpił do mnie.

— Wiecie co się stało? — szepnął mi.
Spojrzałem nań.

— Zamordowano go!

Szymczak ręce podniósł do góry.

— Aliści nie wiecie, bo go śmierć oczyściła.
Gdy końmi ciało rozerwano, okazało się, że niewiastą był, a nie mężczyzną. Do księcia kapelan przybiegł, wyrzucając mu jego okrucieństwo, oznajmić o tem...

Stary leży wyrzekając krzyżem na ziemi.

Bawor ze dworu zniknął...

Ksiązę długo nikomu się nie pokazywał, do nikogo nie mówił, pokutę chciał odprawiać w klasztorze, ale czas zatarł wszystko. Zakazano tylko w jakikolwiek sposób o tem wspominać przed nim. Dopieroż zaczęto śledzić, kto był, z kąd pochodził Dobek i wydało się, że ksiądz, ojciec jego, aby go nie oddalać od siebie, w tej sukni męskiej go wychował.

Ksiądz ten w istocie za grzechy pokutując, do Ziemi świętej się udał i zabrał z sobą mniemanego Dobka. W tej podróży zmarł on, zostawiając testament, w którym wszystko to zeznawał. Syn powrócił już sam do kraju i dopiero miał coś przedsięwziąć z sobą, gdy go Bawor ściągnął podstępnie naprzód do Rypina, a potem do Płocka.

Długo Ziemowit przyjść nie mógł do siebie, dwa niewinnych żywoty mający na sumieniu. Lecz na tem nie koniec jeszcze...

Ksiązę chory leżał, nieustannie modląc się i modlitwy nakazując po kościołach, gdy dnia jednego oznajmiono, że z Cieszyna przybył Franciszkanin, O. Rajmund, który się z nim widzieć dopraszał...

Ponieważ mnicha z pobożności znano, puszczono go do księcia. Sam na sam z nim był, ale tajemnicy nie czyniono z tego, co przyniósł.

Bawor po roztarganiu końmi nieszczęśliwej, uszedłszy schronił się do Cieszyna. Tu go su-

mienie dręczyło i strach ogarniał taki, że jeść ni spać nie mogąc, od najmniejszego szelestu w szal wpadając, nakoniec zachorzał śmiertelnie i przed zgonem ks. Rajmunda wezwał dla spowiedzi.

Wyznał wtedy przed nim, iż fałszywie księżnę spotwarzył przez zemstę za to, że go słuchać nie chciała.

Żeby zaś wiarę dano temu, co Franciszkanin przyniósł, zarazem mu wiele rzeczy takich, pod tajemnicą spowiedzi powierzył, aby je księciu powtórzył, o których nikt w świecie wiedzieć nie mógł.

Mówią, że ksiązę słuchając tego, porwał się i zawołał.

— Chyba zły duch objawił ci księżu, to, o czem prócz mnie i jednego człeka, nikt wiedzieć nie mógł, boby to był życiem przypłacił.

— Ze złym duchem nie mamy do czynienia, my słudzy Chrystusowi a dzieci Franciszka świętego — odparł mnich surowo — ale to dowód, że iście mi to objawił, który był w części przyczyną złego...

Zaczął O. Rajmund księcia do pokuty zachęcać i taką skruchę dobył z zatwardziałego, że rzewnemi łzami oplakiwał okrucieństwo swoje.

Natychmiast po wszystkich kościołach zamówiono nabożeństwo żałobne za duszę księżnej, poczynił ksiązę zapisy na klasztory; a że okazało się, iż dziecię ocalone było przez starego Jarosza, sługę Ziemowita, i oddane do Hinczów, nakazano szukać dziecięcia.

Jarosza natychmiast pobiegł na zwiady, ale tu znowu wieści żadnej już o nim nie znalazł, krom że czasu nocnego napadu przez nieznanomych ludzi dziecię porwane zostało.

Domyślano się w tem sprawy Bawora i Jarosza ze smutku i żalości zmarł także.

Wśród tych utrapień, dowiedziawszy się o cho-

robie ojca, przybyła doń księżna Salomea Szczecińska, i aby go oderwać od miejsca, w którym wspomnienia straszne go prześladowały, zaczęła namawiać, aby z nią na czas jechał do Szczecina. Nie mówiła mu nic, tylko jedno, że się spodziewa, a jest prawie pewną, iż mu ta podróż przyniesie pociechę.

Stary był tak przygnębiony, iż się córce dał namówić do podróży. Jechaliśmy też pospółu wszyscy małemi dniami powoli, a księżna Salomea przodem posłała ludzi, aby ojcu przyjęcie zgotowano.

Zdaje się, iż czas tak obrachowany był, abyśmy nie pod noc, a za dnia do zamku stanęli. Stary przez całą drogę mało co mówił, a co mu się nie trafiało, pacierze tylko na koronce dzwonił, którą mu O. Rajmund zostawił, odmawiał.

Gdyśmy u wnijscia stanęli, na powitanie nasze wyszedł młody chłopak, cudnej urody, skromnie ale bardzo pięknie przystrojony, który starego księcia, podszedłszy doń, mową bardzo układną powitał.

Wszyscyśmy nań oczy ciekawie zwrócili, a księżę poblądł i oniemiał, tak nadzwyczajne było podobieństwo owego młodzieńca i do niego i do całej rodziny.

Ziemowit miał łzy w oczach... Chciał pytać o chłopię, gdy księżna wzięwszy go za rękę, z nim razem padła na kolana.

— Kochany ojcze... to syn Ludomiły... Jam go to porwać kazała i u mnie się on wychował. Przebac mi, a jemu nie skąp łaski swej.

Księżę się rzucił ku niemu i ścisnąć go począł, nie mogąc się napatrzeć i nasłuchać.

Otóż macie całą ową historję krwawą a łzawą, która jakby te brzmiały, co je stare baby wieczernicami wymyśleć i opowiadać zwykły.

Tamże na zamku w Szczecinie zaraz księżę Ziemowit nazwał młodego Henryka synem swo-

im, ale znając krew własną i obawiając się, aby synowie starsi nie knowali przeciwko temu, który im miał część spadku ich odjąć, postanowił, aby księdzem był i duchowną suknię wdział.

Zawczasu mu wyznaczył probostwo plockie, obiecując znaczniejsze jeszcze wyposażenie.

Dalej już co zaszło, na tom nie patrzył — dodał Okoń — ale mi się widzi, że księża suknią młodego nie uczyni duchownym, gdyż całe mu się nie chciało jej oblekać i tylko przez posłuszeństwo dla ojca musiał stan ten obrać...

Noc już była, gdy swe opowiadanie dokończył Okoń, zapraszając Dersława, aby przy nim spoczął w izbie, gdyż pościeli na dwu było dosyć.

— Mnie już sen nie bierze — odparł Nałęcz — lada chwila dzień pocznie, pojedę do swoich i byleście mi dali człowieka, co na drogę do Płocka przeprowadzi, ruszę dalej, bo tu robić nie mam co, a i was chcę uwolnić od niemiłej gościny.

— Nie wyście mi nie mili, ale wszelakiego oka ludzkiego radbym ujść — rzekł Okoń. — Nie chcę mieć pókim żyw, do czynienia ani z książętą, ani z ich urzędnikami!... Gotówbym jak Gniewkowski Biały, ubić sędziego, gdyby mnie chciał ztąd wyganiać.

Zamyślił się Dersław.

— Cóż na to mówicie, jeśli Wielkopoleanie mazowieckich Piastów zechcą?

— Sami powinni obrachować, w czyje się ręce oddadzą — rzekł Okoń. — Jakim jest stary Ziemowit, takim będzie młody Ziemiaszko... Janusz powolniejszy ale i w tym krew odezwać się może... Pomnę księdza w Płocku uczonego, który jednego wieczora bajkę nam opowiadał, jakoby żaby u Pana Boga o króla prosiły. Znudzony skrzekotaniem kazał im belkę zrzucić... Nie rychło się do niej zbliżyć ośmieliły, lecz gdy spostrzegły, że nieruchoma leży, jedna i druga skoczyła na nią. Nuż w krzyk, że im nie kłoca, ale żywego pana

potrzeba. Co Pan Bóg usłysawszy, bociana im posłał, a ten z nich dobrą brał dziesięcinę. Otóż obyście i wy Ludwika na Ziemowita mieniając, tak na tem nie wyszli jak żaby...

Potrząśł głową Dersław, nic na tę powieść nie odpowiadając. Byłby może tu języka zasiągnawszy do Płocka podróży zaniechał, lecz pana Mikołaja z Milanowa chciał też rozpytać i dotrzeć do samego księcia, a dowiedzieć się, co też onby rzekł na to, gdyby go na tron wezwać chciano?

Dniało już dobrze, gdy Dersław wraz z Okoniem do swoich ludzi za rzeczką przybył; Lasotę znalazł już w pogotowiu do dalszej podróży. Stary dziwak przeprowadzać ich nie chciał dać nikomu, miał bowiem na myśli takimi poplątanemi wieść ich drogami, ażeby drugi raz na gródek jego trafić nie mogli.

Nie im o tem nie mówiąc, tak też uczynił, że niby sam nie będąc pewien dróg, do pół dnia ich wodził naprzód, w tył, na prawo i lewo, aby się tem obłąkali, i dopiero wymęczwszy dobrze, gdy Dersław domysławiając się podstęp, począł wyrzekać i dąsać się, na gościniec wywiódł, a tu nie czekając podziękowania, z oczów im zniknął.

IX.

Było naówczas zameczysko płockie, dzięki Kaźmirzowi królowi, tak pięknie z murów grubych wzniesione, obwarowane, wieżami i bramami umocnione, iż mało równych mu było na całej Polskiej przestrzeni. Sam nieboszczyk przebywał tu niekiedy, a lubował się tem wielce, że nowa twierdza teraz bodaj Krzyżakom się oprzeć mogła...

Cała ona bardzo wysokimi murami była opasana, a dla większego bezpieczeństwa nie je-

dną ścianę obwodową miała, ale dwie, tak, że gdyby pierwszą zdobył nieprzyjaciół, stanąłby u drugiej mocniejszej jeszcze, i nanowo szturmować musiał.

Mury oba u góry po pięć łokci, a w dole więcej jeszcze miały grubości i wszędzie blankami a wyżkami opatrzone były... Narożne wieżycy patrzyły daleko na okół, dwoista brama na wałach i przekopach, wodą zalanych tak była mocną i warowną, że nieprzyjaciół do niej niełatwo mógł się ważyć przystąpić, bo tu wszystkie środki obrony najsilniejsze nagromadzone były...

Miasto też samo, krom nędznych przedmieść, z których lud łatwo mógł zbiedz, dobrym murem i okopem obwiedzione było...

Na owe czasy Płock przedstawiał się bardzo poważnie i pięknie, a że miał czas w pokoju się zaludnić i zbożać, — życie w nim dosyć było wielkie i ruch znaczny. Przyczyniało się do tego, iż po śmierci Kaźmirzowej zająwszy je Ziemowit sam tu przebywał, a nie był nigdy bez kilku secin dobrze uzbrojonych ludzi, na wzór niemiecki, których choćby przeciw krzyżakom stawić można było.

Gdy synowie Ziemiażko młodszy i Janusz w Czersku i Warszawie już rządzą i gospodarzyli, stary Płocka z rąk nie puszczał, a i na to, co dzieciom oddał, pilno patrzył...

Chociaż na Mazowsze i na Płock nie napał nikt, i jeszcze się nie było czego obawiać od Ludwika — czujność około miasta i zamku była wielka, załedwie też w bramie ze swymi ludźmi ukazał się Dersław, natychmiast mu się spowiadać kazano zkąd, za czem i dokąd jechał.

Z prosta więc, dążąc do gospody na miasto, Nałęcz stary opowiedział się iż od Poznania przybywa dla widzenia powinowatego (choć dalekie to bardzo było pokrewieństwo) pana Mikołaja z Milanowa.

Ten, co u wrót języka od niego wziął, snać zaraz o tem podskarbiemu oznajmić musiał na zamek, gdyż nim Dersław w gospodzie, ledwie ją wynalazłszy, miał się czas rozmieścić, gdy już od zamku staruszek siwowłosy, niespokojnie pytając o gości, nadażył.

Zobaczywszy Dersława, zdumiał się mocno, gdyż mu powinowatego oznajmiono, a z tym się nie czuł krewnym, powitali się jako starzy druhowie.

Należcz, zręczny zawsze człek, pół żartem mu się wytłómaczył, iż nieopodał będąc u Należcza, którego Zbikiem zwano, do Płocka dla widzenia go nawrócił.

Zerknął pan Mikołaj tak, znając człeka, iż nie bardzo chciał wierzyć temu, lecz pokłonił się, dziękując.

Maż był pod żelazną ręką księcia Ziemowita do wielkiej baczności na wszystko przywykły, i w mowie wstrzemięźliwy.

Siedli na stołach prostych... i poczęła się rozmowa, jak zwykle u starych, od przypominania dawnych czasów i ludzi, których im nie stało.

Mikołaj z Milanowa dopytywał o tych, których w Wielkopolsce dawniej znał, Dersław zagadywał, jak się jemu wiodło... Stary, choć bardzo jeszcze żwawy, na wiek swój utyskiwał, mówiąc, że tylko dla starego księcia, któremu do obucha służyć rad, trzyma się przy kluczach...

Ponieważ w gospodzie na dłuższe gawędy miejsce niedogodne było, pan Mikołaj na zamek do siebie prosił.

— Żona i dzieci moje na wsi, doma; jam tu sam jeden jako patyk—mówił podskarbi—na książęciem chlebie, więc i przyjęcie będzie, na jakie mnie stało...

Dersław tedy Lasotę swojego przedstawił przyjacielowi jako krewniaka, który po śmierci króla służbę utracił.

— Możebyście wy potrzebowali dworaka, który już dobrą odbył szkołę?—rzekł, śmiejąc się.

Mikołaj spojrział na młodzieńca i nie nie odpowiedział zrazu.

— Nie tak to łatwo u nas nowemu człowiekowi się umieścić—rzekł po chwili. — Nasz stary książę młodym nie dowierza... nie łatwo też do nich nawyka.

— Mój ci takim młodzieniaszkiem nie jest—dodał ukazując Dersława.

— Prędzejby w Czersku lub w Warszawie służba się znalazła niż u nas—rzekł pan Mikołaj.

— Nam też z nią nie pilno—wtrącił Dersław.

Gdy wkrótce potem na zamek się wybierali, a Mikołaj podskarbi Lasotę też zapraszał, wymówił się ten, iż dla dozoru ludzi pozostać chciał w gospodzie.

Szli tedy starzy na zamek, a po drodze nie bacznego oka Dersława nie uchodziło.

Wiedział on o tem dobrze, iż chcąc poznać człowieka, tem bardziej takiego, który potęgę w ręku dzierżał, na wszystko co go otaczało, pilno należało spozierać, bo tu każda rzecz miała swe znaczenie. Tak dobrze odarty kaftan sługi, jak chudy koń żołnierza i obejście się ludzi, a głosy ich, zaraz o panu, do którego należeli, oznajmowały.

Okolo zamku cicho było, czysto, ład wielki, a karność widoczna. Choć służby i pacholków kręciło się dosyć, wrzawy żadnej nie słyszał. W bramach i u wnijscia, choć pokój był, stráže stały, zbrojni miejsca swe zajmowali.

Drugie wrota przeszedłszy, większą jeszcze cichość w podwórzu znaleźli; tu w pośrodku murowany, okazały stał dworzec książęcy, pięknie kryty i dosyć rozległy.

W przedsieniach trochę czeladzi siedziało,

jakby na rozkazy czekając i ust prawie nie otwierając.

Jak na wszystkich dworach książęcych, które z zachodnimi państwami miały stosunki, i tu dwornia a rycerstwo więcej z niemiecka i cudzoziemska poprzybierana była, niż dawnym obyczajem domowym.

Pominąwszy główne wniście dworu, pan Mikołaj na prawo szedł z gościem swym, do skrzydła, w którym miał mieszkanie.

Położone ono było tuż przy książęcym skarbcu, który we dwu urzędnicy dozorowali. Nie było przepychu żadnego w kilku izbach pana Mikołaja, mało nawet wygody i szczupło sprzętu, bo stary, rodzinę wyprawiwszy na wieś, żył tu tylko jak na popasie.

W komorze sklepionej, do której gospodarz wprowadził Dersława, wisiał tylko Chrystus ukrzyżowany na ścianie i wygodniejsze siedzenie usłane było we wgłębieniu okna, z którego po za mury na łąki i lasy oko mogło wyjść z tego wiewienia.

Pan Mikołaj siadywał tu pewnie, tęskniąc za wsią swą, za lasami, za polami, za swobodą, bo jest we krwi ziemianina polskiego, że zawsze za szerokimi obszary wzdycha, i w mieścisku a w murach wędnieje. Nie zdradził tej tęsknicy baczny pan Mikołaj, boby to księżę wziął za złe, ale się ona na obliczu jego wycisnęła.

Starzy przyjaciele poufalej jeszcze rozpoczęli swe wspominki z czasów młodości, i Nałęcz miał rozpocząć zręczne badanie, gdy pacholę w kusym stroju niemieckim, obcisłym, wpadło jakby przestraszone i dyszące, powołując podskarbiego do księcia.

Mikołaj zaledwie przemówiwszy słów parę uniewinnienia, natychmiast na zawołanie pośpieszył do pana.

Dersław tymczasem siadłszy w oknie, mógł

się bez przeszkody zamkowi przypatrzeć i przekonać, iż surowy w nim panował porządek, a i dostatek pewien, choć nie świecący widać było.

Wszystko, co tu oglądał potwierdzało w przekonaniu, że ten właśnie Piast stworzony był dla Polski, w której porządku byłoomal i żelaznej potrzebowała dłoni.

Dobry czas zabawiwszy, wolnym krokiem powrócił wreszcie zadumany podskarbi.

— Jeżeli wam co zlecono i macie do czynienia—odezwał się Dersław—odprawcie mnie. Pierwsza służba książęca, niż powolność dla przyjaciela.

— Nie mam nic—odparł pan Mikołaj—księżę tylko miał wiadomość, czyli też zobaczył, że nie sam wróciłem na zamek, chciał zaraz wiedzieć, kogo miałem u siebie i z czem przybyliście. Jak widzisz, czujni jesteśmy.

Po chwili zaś dodał podskarbi.

— Księżę was widzieć chce.

Dersławowi tego było potrzeba, lecz nie dał poznać po sobie, że go uradowało, skłonił tylko głowę.

— Nie obojętna dla nas rzecz—mówił dalej Mikołaj—co się u nas w Wielkiej Polsce dzieje, co na dworze królowej, o czem wy lepiej od nas musicie być uwiadomieni.

— Nie wiem, boć wasz Janusz podobno z Ludwikiem i jego matką dobrze jest i często tam zagląda.

— Lecz dwoje oczu nie zawsze wszystko widzieć mogą.

Dersław nie już nie mówiąc o tem, oświadczył, że na zawołanie księcia jest gotowym.

Tymczasem podskarbi go przyjmował przekąską i winem, które o wielkim zbytku na dworze nie świadczyły. Jedzenie nieszczegółne a wino było kwaśne.

W godzinę może potem toż samo pacholę

przyszło im oznajmić, że stary książę gościa Wielkopolskiego rad był widzieć u siebie.

Szli tedy z podskarbim razem do głównego gmachu, i z wielkiej sieni, w której mnoga służba siedziała, cicho się zachowując, przez duże puste izby zaprowadzeni zostali do sypialni starego księcia. Ta była niewielka, sklepiona z jednym oknem dosyć wysoko umieszczonem, tak że do siedzenia przy nim w murze przez parę wschodów wstępować było potrzeba.

Książę—mały letni, wzrostu wielkiego, z brodą siwą, podparty na wyschłej, żyłastej ręce, w długiej czarnej sukni, siedział przy stole.

Twarz jego przeciągła, czoło i czaszka wyniosłe, wyraz oczów ostry i przenikający — miały w sobie coś pańskiego, dumnego i nakazującego. Na obliczu tem widać było, że pan jego rozkazywać nawykł i większym się czuł nad losy swoje. Powaga krwi królewskiej okrywała całą tę postać, zmuszającą do poszanowania, obudzającą trudną do pojęcia trwogę.

Nawet ktoby historyi tego człowieka nie znał, domyślałby się w nim nie umiającego ustąpić ani losom ani ludziom męża wielkiej woli i gwałtownego charakteru.

Nogi starca spoczywały na podeślanej skórze niedźwiedzia. Suknia ciemna i jakby żałobna, bez żadnych wyszywań i ozdób, prawie ubogą się wydawała. Obok ręki, na której był sparty, na stole leżał różaniec drewniany, przypominający ten, o którym mówił Okoń, że mu O. Rajmund zostawił.

Czekan też, na którym się zwykł był opierać, gdy wstawał, tu był sparty o jego siedzenie. Laska to była razem i broń straszna.

W izbie starca, pomimo wiosny i trochę odsuniętego okna, panował zaduch i zapach jakichś ziół czy kadzidła.

Gdy weszli, a podskarbi przestawił księciu

Dersław, pokornie mu się do kolan kłaniającego, Ziemowit dosyć długo ani się odezwał, ni poruszył. Ściągnawszy brwi wpatrywał się pilnie w przybyłego, jakby i jego i myśli w nim zamknięte chciał odgadnąć.

Z pańską obojętnością go przyjmował. Nareszcie gdy już Dersław tem zimnem milezieniem był potrosze zmieszany, stary książę głowę ku niemu zwrócił nieco i grobowym głosem odezwał się:

— Zkąd jedziecie?

— Od Poznania — rzekł Nałęcz. — Rodzina nasza rozmnożona i rozsypana, a pod te czasy niespokojne rody muszą i wiedzieć o sobie i trzymać się gromady. Jeździłem po swoich, a niedaleko będąc Płocka, starego druha zamyśliłem na wiedzieć.

Odpowiedź ta, czy zaspokoila księcia, czy nie, niewiadomo; zmilczał po niej znowu. Utkwiło w nim to wyrażenie o czasach niespokojnych.

— Dlaczegoż to u was niespokojnie? — zapytał.

— Nie od dziśdnia tak u nas — odparł Nałęcz. — Kraj daleko od oka pańskiego, wielkorządcy mu nie zawsze podolają. A co dopiero, gdy, jak ten, którego teraz mamy, obcy nam są. Od granicy wpadają rozbójnicy Sasi i Brandeburgi, a za ich przykładem i ziemianie nasi puszczają się na łotrostwa.

Dersław westchnął.

— Czuje to Wielkopolska, iż pod obce poszła panowanie — dodał.

Stary książę powiódł chudą ręką po czole, zmarszczył się, nie odpowiadał.

Nałęcz, czy ośmielony, czy próbując, dorzucił jeszcze.

— Piasta nam trzeba było.

I na to stary nie rzekł jeszcze, rękę schylił i począł nią, zamyślony, przebierać różaniec.

Nastąpiło przykre milczenie. Nałęcz już się więcej mówić nie ważył, czekał.

Książę swym grobowym głosem rzucił pytanie.

— Kogóż wam za wielkorządcę dali.

— Ottona z Pilecy, Krakowianina — rzekł Derśław, nie tając niechęci. — Nie bywało to u nas jeszcze, aby ze wzgardą tej ziemi, obcych przysyłano, ale niewiasta rządzi.

Na twarzy Ziemowita, który siedział plecami do okna zwrócony, poruszenie jakieś widzieć się dało, lecz na ukrytych w cieniu rysach Derśław rozpoznać nie mógł, czy uśmiech przebiegł, czy pogardliwie skrzywiły się usta.

— Widzę, żeście nowemu panu nie bardzo radzi — przebaknął.

— On też nam nie ojcem, ale ojczymem jest — rzekł swobodnie Derśław. — Węgry mu milsze.

Książę poprawił się na siedzeniu.

— Trudno dwom i tak wielkim państwom panować razem — począł bardzo powoli. — Na jedno i mniejsze ledwie człowiek starczy, dniem i nocą czuwając.

— Wielkopolska by rada, jak to już bywało — odezwał się Nałęcz — swojego pana i ze swej krwi mieć. Dotąd Ludwik męskiego potomka nie ma, spadnie więc to kiedyś na Piastów.

Słyszac po raz już wtóry tę przygrywkę, Ziemowit odprostował się, sparł na wysokiej krzesła poręczy, ręce założył na piersiach i zadumał.

— Wam — rzekł chmurno — byle panów mieć. Nigdyście nie radzi temu, którego macie, a pachnie wam inny. Znam ja was ziemian wszystkich. Jeden wam za surowy, drugi za powolny. Chcielibyście sami pono a bezpańscy być... aby was Niemcy zjadły.

— Miłościwy książę, — przerwał Derśław — surowego byśmy się nie ulekli, ani powolnym nie gardzili, byle nasz był własny. Obcego nie chcemy... bo on nas nie rozumie.

— A kto was rozumie? — rzekł szydersko stary.

Nałęcz obrażony nieco spuścił głowę. Milezeli znowu.

— Siedzielibyście spokojnie z tym panem, jakiego wam Pan Bóg i wola króla nieboszczyka naznaczyła — powoli począł książę, wpatrując się szybko zasępionemi oczyma w Derśława. Nie znajdziecie takiego Piasta, któryby dla miłości waszej ważył to, co ma pewnego, o niepewne się dobijając. Król Ludwik mocnym jest. Tego co ma, wydrzeć sobie nie da. Ze śląskich naszych żaden przeciwko niemu nie pójdzie... ani ja, ani moi synowie. Jeżeli Ludwik bezpotomnie zemrze lub córki tylko zostawi... to rzecz inna. A i naówczas zięciowie się korony dobijać będą... a ci zaś pewnie możni i mocni się znajdą. Mówią już o tem.

Derśław słuchał ze spuszczoną głową. Przykro mu było, lecz tłómaczył to sobie tem, iż książę myśli swej przed nieznanym człowiekiem nie chciał wyjawiać.

Książę, dokończywszy powolnej mowy, którą przerywał kilkakroć badając oczyma, jakie na słuchaczu uczyni wrażenie, zakaszlał się, podparł na rękę jak wprzód i wpadł w zadumę, zdając się zapominać, że człowieka obcego miał przed sobą.

Potem, jakby zbudzony, zwrócił się ku niemu i spytał:

— Chleb tego roku mieć będziecie?

— Na polach niezgorzej u nas — rzekł Nałęcz.

— O pomorku nie słyhać? — dodał Ziemowit.

— Dzięki Bogu.

— A ludzie zamiast pokoju używać — rzekł książę — wichrzą się i mordują?

— Na to my sami nie poradzimy — odparł Nałęcz — dosyć, że każdy życia swojego i mienia ustrzeże.

— A wielkorządcą?

— Jakby go nie było... innego nam dać muszą, tego słuchać nikt nie chce — rzekł Dersław.

Ziemowit potrząsnął głową.

— Jedźcie z żalobą do Krakowa — ozwał się pomileczawszy — jużci królowa ulituje się wam.

— Wielkopoleanie tam ucha nie mają — począł Dersław. — Węgry naprzód, a po nich Krakowianie... nam tam za drzwiami stać każą, jeśli i od tych nie odpędzą.

Ziemowit uśmiechnął się.

— Zazdrośni jesteście, boć tam pono na dworze Elżbiety wesoło czas drudzy trawia. Pan Bóg dał Elżbiecie jakąś cudowną młodość, którą powiadają, że czarami utrzymuje, a wodą.

Dersław ramionami poruszył.

— Królowa stara, ale doradców młodych lubi — rzekł — i to nas gubi. Lada chłystek, co ją zabawi, łaskę i zaufanie ma, starych sług poodprawiała.

Ziemowit wysłuchiwał tych skarg, a że z całego rozmowy toku mógł się domysleć, iż Dersław przybył tu na zwiady, podniósł się więc znowu i — powtórzył.

— Radźcie sobie jak możecie, na Piastów żadnych nie rachujcie. Chybabyście (tu się rozśmiał) biedaka tego z pod kaptura wywlekli, którzy nie do stracenia nie ma.

Dersław jakby wstrzymać się nie mógł, wtrącił:

— Jakby nas bieda zmusiła, kto wie? Ma on dawnych przyjaciół! gotowi sprowadzić i tego.

Ziemowit głową potrząsnął.

— Papież go wam nie da — rzekł — a on też przeciwko siostrzenicy Ludwikowej żonie i dzieciom jej oręża nie podniesie, nie mówiąc już o potędze króla. I nie człek to do wojowania a panowania, do których wężej siły potrzeba i wytrwania, niż on ma.

Ręką uderzył po stole, sparł się i zamyślił.

Milczenie trwało długo, a rozmowa tak przykre uczyniła wrażenie na Nałęczu, iż kroków parę ku progowi ustąpiwszy, gotów był żegnać się i odchodzić.

Domyślając się tego stary ksiązę, powstał, ujawszy czekał, który stał przy siedzeniu, czekał ten przypominający Dersławowi niedawno słyszaną Dobka historję.

Gdy podniósł się, wyprostął, siłę w nim jeszcze męzką, mimo wieku, widać było, i postawę przybrał pańską a rycerską. Głos jego złagodził.

— Idźcie z Bogiem — odezwał się do Dersława. — Niedobreście mi wieści przynieśli z Wielkopolski, życzę, by się wam lepiej działo, choćby przez wdzięczność, że o Piastach nie zapominacie.

— Cóż, gdy oni o nas myśleć nie chcą! — odważył się wtrącić Dersław.

— Nie chcą? — podchwycił z dziwnym wyrazem Ziemowit — mów, nie mogą.

Skinął głową i zwolna się ku oknu odwrócił. Nałęcz pokłonił się nisko. Ksiązę już nań nie patrzył.

Wyszli z komory a Nałęcz aż do podwórza słowa nie rzekł, tak był strapiony.

— Na tych nie ma co rachować — mówił w duchu.

Podskarbi go poprowadził nazad do swej izby, i z pochmurnej twarzy domyslił się, że posłuchanie przykre na nim czyniło wrażenie.

— Ksiązę wasz — otwarcie rzekł Dersław — klina mi ostrego zabił w serce.

— He? — spytał podskarbi.

— Nie ja jeden, ale wielka część ziemian naszych na niego rachowała.

Podskarbi słuchał, nie odzywając się.

— Zmusi nas za mnichem gonić! — mruknął Dersław.

— Toż go znać powinniście, iż statku nie

miał—przerwał podskarbi.— Nawet i z rozpaczyny za pana go wybierać się nie godzi.

Nalęcz siadł i w okno począł patrzeć.
— Krew w nim zastygła — rzekł smutnie — pańskiego ducha nie mają. Łoktkowego ducha, tego co o głodzie i chłodzie, bez ludzi, państwa się dobijał i dobił. Maluezkim był, a wielkim się stał. Toć nie królewscy synowie są, ale gospodarze i ziemianie, którzy nie wazą kawałka ziemi dla korony, bo im ich miękkiego spokoju żal.

To było słowo ostatnie Dersława, który za podany sobie kubek pochwycił, zmuszając się do weselości.

— Bądź co bądź — zawołał — ja Piastom piję prze zdrowie! Jeden się przecież znajdzie, co nas i swój ród ratować zechce, aby ta krew, co nam tyle wieków panowała, nie zmarniała na drobnych udziałach i po siolach się nie rozlała.

Podskarbi uderzywszy w kubek, wychylił go także w milezeniu.

Inną może myśl miał tu przybywając Nalęcz, lecz gdy z ust Ziemowita stanowiącą wziął odprawę, już gościć tu dłużej nie chciał.

— Miły mój — rzekł do podskarbiego, — nie wskórawszy u was nic, bo i mojemu Lasocie na dworze waszym trudnoby się było pomieścić, jutro mi trzeba nazad w drogę.

Nie próbował go zatrzymać podskarbi. Przesiedzieli tak rozmawiając pociechu do wieczora, pan Mikołaj gością odprowadził do gospody i pożegnali się smutni.

Lasota swemu staremu z oczów wyczytał zaraz, że nadąsany powracał, przekonał się o tem mocniej jeszcze, usłyszawszy, że nazajutrz o świcie kazał się do podróży sposobić.

Gdy Mikołaj z Milanowa odszedł, Dersław mu rzekł.

— Niema tu co robić. Piastów tu nie szu-

kać. Zniemczeli i postarzelili... indziej ich potrzeba patrzeć.

Tak się skończyła próżna do Płocka wyprawa.

Drugiego dnia jechał już stary Nalęcz milczący i zasepiony, z Lasotą ledwie kilka słów obojętnych zamieniając. Lecz, że naturę miał, która długo markotną być nie mogła, zawsze sobie jakiegoś szukając pociechy, gdy jeden dzień się tak nagryzł, wstał potem orzeźwiony i weselszy. Oko mu się znowu zaśmiało i usta powoli odmykać zaczęły.

— Pomścić się waści nie udało — rzekł do Lasoty — ale bo też zmarniećby ci tu przyszło na dworze tym, który jak klasztor wygląda... i z Mazurami byś nigdy nie doszedł sprawy. Rodzili się wszyscy pod ciemną gwiazdą, jak mówi przysłowie. Ale na tem nie koniec. My ludzie jesteśmy uparci. Gdy nas od jednych drzwi odegnają, drugich szukamy, a gotowiśmy i oknem wleźć. Piastowiczów jest siła, dworów i służby nie zabraknie, prędzej ludzi dla nich nie stanie.

Tak, niby się nie zdradzając przed Lasotą, i udając, że dla jego tylko sprawy podróż przedsiębrał, pośpieszał Nalęcz do Wielkiej Wsi. Po drodze tylko na chwilę do kilku dworów wstąpił, ziemianom spotykanym coś podszeptnął, a w domu ledwie przenocowawszy, nazajutrz sam do Poznania pociągnął.

KONIEC TOMU I-go

BIBLIOTEKA
MUSEUM
230

